Biblioteka
Sokoła Polskiego,
Gn. No. 14, 188-190 Grand St.
Williamsburgh, Brooklyn, N. Y.

Chcący wypożyczać książki, składa $1.00 jako kaucyę albo przedstawia poręczenie Towarzystwa którego książki znajdują się w Bibliotece. Wypożycza się książki bezpłatnie. Książkę można trzymać 14 dni, poczem płaci się 1 c. dziennie. Biblioteka otwarta w Środy o 7 i pół do 10 g. wieczorem i w Soboty od 1 i pół do 6 g. wiecz.

Towarzystwo wzajemnej pomocy „Wolność"
Brooklyn, N.Y.

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/zyweobrazki0000winc

ŻYWE OBRAZKI.

Wincenty Kosiakiewicz.

Żywe Obrazki

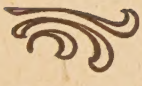

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1908.

JAK ZA DAWNYCH CZASOW.

Ilja Płatonowicz, dyrektor entego gimnazyum warszawskiego, w ubiegły czwartek był w usposobieniu ducha tak ciemnem i ponurem, że najgorszym wrogom nie należy nic podobnego życzyć. Osądźcie sami...

Z samego rana otrzymał on od pięknej Wasilisy bilecik, w którym zapewniała go równie solennie jak nieortograficznie, że jeżeli nie zapłaci dziś za nią komornego, o które gospodarz już trzeci miesiąc się upomina, to zrzuci go, Ilję Płatonowicza, przy pierwszej sposobności ze schodów.

Zaraz potem weszła do gabinetu Ilji Płatonowicza małżonka jego, żądając pieniędzy.

— Nie mam, nie mam — kręcił się Ilja Płatonowicz — ty zrozum, że teraz przyszły takie czasy, że trzeba żyć z samej pensyi. A i tę mogą odebrać lada moment...

Na co dama odrzekła z wielkim gniewem:

— Ty mi to już trzeci miesiąc pod rząd powtarzasz, stary czorcie...

Ledwie dama zdecydowała się opuścić próg

gabinetu, ukazała się tam natychmiast panienka. Zadąsana była i gniewna:

— Papasza? kiedyż ja będę mogła krawcową zapłacić?

Ilja Płatonowicz córkę swoją całą duszą kochał, bo była śliczna, postawna, wyniosła, dumna i tylko od niej zależało wyjść za mąż za oficera gwardyi.

— Sonia, duszka, nie mam, nie mam—począł jęczeć głosem o litość błagającym.

— To pożycz—odrzekła Sonia krótko i zimno.

I wyszła, nie obejrzawszy się.

Ilja Płatonowicz powtórzył:

— Pożycz?!... pożycz?!...

On wiedział, on jeden tylko, że to jest już niemożliwe. Albowiem pomimo, że łatwiej byłoby hipopotamowi przecisnąć się przez ucho igły, aniżeli ubogiemu pomieścić syna w pewnem gimnazyum warszawskiem, pan dyrektor prosperującej tej instytucyi miał długów powyżej uszu. Co się dało gdzie pożyczyć, już było pożyczone.

Ujął więc Ilja Płatonowicz głowę skołataną swoją w obie ręce — i, po raz pierwszy w życiu, przyszła mu do tej głowy myśl straszliwa, myśl ostateczna, myśl o samobójstwie.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Po pieniądze jeszcze, po pieniądze — pomyślał nieszczęsny.

Ale to nie po pieniądze przychodzono do niego...

Kiedy drzwi się uchyliły, wszedł do gabinetu, grzecznie się kłaniając, p. Hufniakiewicz.

* * *

Kto był pan Hufniakiewicz?

Kamienicznik i kapitalista warszawski. Ojciec jego zrobił pieniądze, przychodząc z pomocą ludziom, będącym w ciężkiej potrzebie materyalnej, a nieposiadającym hipotecznych zabezpieczeń. Sam p. Hufniakiewicz, choć odziedziczył duży majątek, był czas jakiś tarysem. Ale nowe prawo o lichwie zniechęciło go do życia czynnego. Używał więc w spokoju darów Bożych i zajmował się edukacyą moralną i społeczną swego jedynaka, wpajając weń głównie, że „pieniądze to grunt, a reszta to bajki".

Gdyby zresztą p. Hufniakiewicz zwątpił kiedy na moment o wartości i pożytku swojej doktryny życiowej, dość byłoby mu spojrzeć na pociechę swoją, na swego jedynaka. Chłopię było niemrawe i tępe. A jednak na drugi rok w tej samej klasie nigdy go nie zostawiono...

I teraz oto...

Ale nie uprzedzajmy wypadków:

Ilja Płatonowicz już miał na ustach płaczliwe słowo swoje:

— Nie mam, jej Bogu, nie mam.

Gdy uprzejmości pełen uśmiech na sympatycznej twarzy p. Hufniakiewicza powstrzymał wszelkie jęki, a nawet i złe rozmyślania p. dyrektora gimnazyum.

— Przyszedłem się dowiedzieć, panie dyrektorze, jak się sprawuje mój syn?...

Te proste słowa nie podziałały dziś na Ilję

Płatonowicza, jak klaśnięcie działa na rasowego konia: dobra krew dziś się w nim nie poruszyła.

— Nu, nie to, nie to — rzekł, ale rzekł to przez rutynę samą, tonem od prawdziwie dyrektorskiego tonu tak dalekim...

Pan Hufniakiewicz odrazu jednak sięgnął do pugilaresu.

I kiedy wyjmował z tego pugilaresu piękną, sztywną, lśniącą tęczówkę i bez dalszych omawiań położył ją na stole, półgłosem, słodkości przytłumionej pełnym, szepcząc: „moje kwartalne"... Ilja Płatonowicz patrzył to na osobę p. Hufniakiewicza, to na ową tęczówkę oczami osłupiałemi, a w duszy jego, widać to było, coś się zmagało i coś się łamało. Wreszcie w pedagogu rządowym przebudził się człowiek.

— Pan?... mnie?... teraz?... — zawołał serdecznym głosem, w którym, zdawało się, słychać było szelest kapiących ze wzruszenia łez.

Wstał.

Było to silniejsze od niego.

I schowawszy wprawnym ruchem leżącą tęczówkę, otworzył szeroko ramiona swoje i ujął w nie potężnym gestem niebardzo przygotowanego na taką owacyę p. Hufniakiewicza.

— Ja teraz, teraz dopiero widzę—wołał — że Polaki to szlachetny naród, że Polaki to rycerski naród, że Polaki to dusza naród...

I oczy mgłą mu się przesłoniły.

*

* *

Ktoby zajrzał po chwili do gabinetu dyrektora, zobaczyłby tam dwóch ludzi, rozmawiających ze sobą z taką szczerością, z taką otwartością, z taką przyjaźnią, jak jeszcze żaden dyrektor gimnazyalny w Polsce z ojcem ucznia nigdy nie rozmawiał.

— Ja, Ilja Płatonowicz najdroższy, taki już jestem--wywnętrzał się p. Hufniakiewicz. — Polskie szkoły, ruskie szkoły, dla mnie wsio rawno. Ty mojemu Marcinkowi maturę dawaj, a ja o resztę nie pytam. Będą w Warszawie polskie szkoły, ja przed panem mówię, jak na spowiedzi, to ja przecież opozycyi robić nie będę. Daliby mi po pysku i tylebym zyskał, prawda?

— Nikt nie wymaga...

— Jak będą polskie szkoły, to ja potrafię się i polskiemu dyrektorowi pokłonić, potrafię i jego poprosić o względy dla mojego jedynaka. A jest ruski dyrektor, to trzeba jemu się pokłonić, to trudno... Może przyjdą takie czasy, że wszystkie szkoły będą zniesione, albo ja wiem, a maturę będą wprost wydawali w kancelaryi oberpolicmajstra, jak na ten przykład paszport zagraniczny, na podstawie kwalifikacyi z cyrkułu, to ja się wtedy w cyrkule pokłonię i u oberpolicmajstra pokłonię... Ja nie jestem socyalista...

— Wiżu... wiżu...—przytakiwał p. dyrektor.

*
* *

— Gaspadin Hufniakiewicz, druh ty moj sierdiecznyj — mówił z kolei Ilja Płatonowicz — pan mnie serce reże jak ostrym nożem.

— Co? ja, Ilja Płatonowicz?!... — przestraszył się p. Hufniakiewicz.

— Wy, wy, nie kto inny. Teraz, kiedy ja poznał, że Polaki są dobrzy ludzie, kiedy sobie tu druha znalazł, kiedy mnieby tu było dobrze i ciepło, że i raju nie potrzeba, to teraz będą mnie ztąd gonić... Takie warwarswo...

— Pan o tem nie myśl, Ilja Płatonowiczu...

— Jak nie myślić, jak nie myślić... kiedy będą gonić... Przecie i u mnie ludzkie serce jest w piersi. Ja tu dwadzieścia lat przeżył. Młodość stracił. Ja do tutejszego powietrza przywykł.

— Dwadzieścia lat!

— Równo dwadzieścia... Mnie Apuchtin sam sprowadził. Ja przedtem w konnozawodstwie służył. On mnie powiedział: „Pojeżżaj w Warszawu, dobrze ci będzie". Wy, Polaki, nie lubili Apuchtina. A pan myśli może, że ja jego lubił? Ja jemu parę razy mówił: „Aleksander Lwowicz, wy na niechoroszyj put' powieli dieła"...

— Pan to mu powiedział?!

— Jakże?! żeby to raz! Ale ja jemu to mówił przy każdej okazyi. Ostatni podlec jestem, jeżeli ja jemu tego nie mówił. „Aleksander Lwowicz, powiadam, bywało, jak pan tak wszystkie szkoły pozamyka, to potem i pana uprazdnią. Powiedzą: na co kurator, kiedy wcale szkół niema".

— A on?

— On?! Nic. Śmieje się, bywało. „Ty, Ilja Płatonowicz, nie znasz naszej matuszki Rossii. U nas mogą uprazdnić całą armię swoi czy nie swoi, wsio rowno, ale generały zawsze będą; mogą potonąć

wszystkie okręty nasze, ale admirałów zostawią; mogą pozamykać wszystkie prisutstwja, ale stołonaczalników nie uwolnią"...— A jak ich ruszą, Aleksander Lwowicz? — On tylko ułybnułsia. „Nie pasmiejut". I znowu ułybnułsia. Ah, sławny był mały. Taki wesoły...

— Doprawdy?!— dopytywał p. Hufniakiewicz.

* * *

Ilja Płatonowicz miłym głosem zawołał:

— Co wy, gospodin Hufniakiewicz, już wychodzicie... No, to poczekaj pan chwilkę...

I wybiegł na kurytarz.

— Mitrofan!—krzyknął.

— Zdieś—odezwał się pedel.

— Wołaj mi Tierentia, Gierasima, Agafona...

— Wsiech piedielej?

— Wsiech...

A kiedy przyszli, pan dyrektor tajemniczym głosem odbył z nimi jakąś zagadkową konferencyę.

Jakże inaczej teraz Ilja Płatonowicz wyglądał aniżeli rano? Jak inny człowiek. O śmierci myśleć?... Co za głupstwo!... Życie dla żywych!

I stał oto żegnając p. Hufniakiewicza, uśmiechnięty, ożywiony, wylany, czuły.

— Ja był dziś rano zupełnie upawszy, druh mój—zapewniał na odchodnem p. Hufniakiewicza.— A pan mnie pocieszył. Wszyscy się teraz odemnie odwrócili. A przecie dyrektor gimnazyum, toć to także człowiek, i jego też nie można odrazu licem w błoto. On ma też swój budżet! Sławny

z pana człowiek, jej Bogu. Do śmierci nie zapomnę. A to rozpacz już brała. Nie żartuję. To głównie przyjemno, że Polak. Pan wie, co nasz Puszkin powiedział: „Nie to bieda, szto ty Poliak—Kastiuszka lach, Mickiewicz lach“...

A kiedy p. Hufniakiewicz wyrwał się z objęć nowego przyjaciela i znalazł na korytarzu, Ilja Płatonowicz wskazał mu na w rząd wyciągniętych pedlów.

— Pan wie, na co ja ich wezwał? — zapytał Ilja Płatonowicz półgłosem, bo ja przy nich po polsku, zobaczy pan. Ja nie jestem zły. Jak kto ze mną dobrze, to i ja z nim dobrze...

I mury gimazyalne po raz pierwszy usłyszały, jak p. dyrektor głośno i publicznie (bo wobec pedlów) odezwał się najczyściej po polsku: „Nu, jak się macie, rebiata“?

A potem rzekł słodkim głosem:

— Do zobaczenia się, kochany panie Hufniakiewicz. Bardzo mi miło, bardzo. Do najprzyjemniejszego zobaczenia się, kochany panie Hufniakiewicz.

I kiedy p. Hufniakiewicz był już na schodach, Ilja Płatonowicz coś sobie jakby przypomniał, jakby się nad czemś zastanowił — i głosem już prawie suchym dodał: i do naiskorszego zobaczenia się, p. Hufniakiewicz.

SEN PANA HUFNIAKIEWICZA.

Choć to był czwartek, a na kalendarzu wisiała kartka z liczbą zgoła parzystą, dla pana Alojzego Hutniakiewicza dzień ten stał się prawdziwie feralny.

Od rana poczęły się złe rzeczy i ciągnęły łańcuchem fatalnym aż do wieczora.

Naprzód służąca zbiła mu klosz od lampy. Krzyknął jej:

— To będziesz miała wytrącone.

A ta patelnia na to odpowiada zuchwale:

— Niech ino pan spróbuje... Oho! już minęły te czasy!...

Potem się pokazało, że ulubiony pies pana Hutniakiewicza, duży dog, domowa samoobrona, Nero, ma nos gorący i nie chce jeść nawet cukru.

W południe stróż zameldował, że lokator z pod czternastego numeru, który winien był za cały kwartał komorne, dzisiejszej nocy, czy kiedy tam, cichaczem się wyprowadził - nie wiadomo gdzie.

Pan Hutniakiewicz chciał bić stróża. Ale się powstrzymał i tylko mu począł srodze wymyślać.

Stróż nie poznał się jednak na wstrzemięźliwości tej i mruknął:

— O! niech ino pan gospodarz tak sobie znowuj gęby człowiekiem nie wycira...

I odwróciwszy się plecami, wyszedł, nie dosłuchawszy litanii do końca.

Adalek, wróciwszy ze szkoły do domu, powiedział ojcu:

— Pan dyrektor mówił, żeby ojczulek pofatygował się z nim zobaczyć.

Pan Hufniakiewicz począł jęczeć:

— Nie... jak honor kocham... To za dużo na jedną moją biedną głowę.

Potem zawołał do malca:

— Toć miesiąc ledwie upłynął, jak mu zanosiłem storublówkę...

— Ja tam nic nie wiem — odparł Adalek, zabierając się do jedzenia.

Pan Hufniakiewicz do dziennika malca: z matematyki dwója, z łaciny dwója, z rosyjskiego sztyc.

— Co ty mnie kosztujesz, co ty mnie kosztujesz, gałganie jeden!

Adalek się odciął:

— Ja się nie chcę uczyć—mruknął.

— A co ty chcesz?

— Żeby mi ojciec dorożkę kupił. Ja będę dorożkarzem.

— Baty dostaniesz, nie dorożkę, ty, ty nieponiu.

Wreszcie nad wieczorem samym zjawiło się w gabinecie pana Hufniakiewicza dwóch panów, z żądaniem podatku wolnościowego.

— Pan jest naznaczony, jako mający zapłacić—rzekli—dwieście rubli.

Szelma służąca, pomimo przykazów najsroższych, umyślnie pewno wpuściła tych nieznajomych.

Pan Hufniakiewicz przez godzinę się z nimi targował i dopiero pozbył zapłaceniem piętnastu rubli.

Poczem chodził długo po pokoju, rozpaczając głośno:

— Powiesić się chyba, albo co?!

Zmęczony, rzucił się wreszcie na łóżko...

. . . . . .

...Spostrzegł pewnego młodego mężczyznę, robotnika z ubrania i obejścia, który poklepał go po ramieniu i rzekł poufale:

— No, czas już, towarzyszu. Chodźmy.

Pan Hufniakiewicz zapytał:

— A gdzie?

— No, do partyi.

— Do partyi?

— Tak. Cała organizacya bojowa jest już zebrana w komplecie. Tylko nas dwóch brak. Śpiesz się, towarzyszu.

Pan Hufniakiewicz począł się śpieszyć i wyszli razem.

Robotnik przez drogę począł wtajemniczać pana Hufniakiewicza w najbliższą przyszłość:

— Mamy robotę—rzekł.

— Doprawdy?

— Jużci. Malumi został skazany na śmierć przez partyę. Wczoraj już posłano mu wyrok. A jakże. Idzie o to, kto rzuci w niego bombę.

— Bombę?...

— A jakże.

— No, i któż? któż?

— A, no, właśnie odbędzie się zaraz losowanie. Tylko na nas czekają. Może ci się poszczęści, towarzyszu, i wyciągniesz czerwoną gałkę. Zwykle los sprzyja nowicyuszom. Ja jakem pierwszy raz ciągnął, odrazu trafiłem na czerwoną gałkę.

Pan Hufuiakiewicz ściągnął się cały w sobie.

— Ale ja... tego... bomby... nie potrafię...

Towarzysz poklepał go po ramieniu:

— Nic to... Nie wielka rzecz. Ciska się niby piłkę.

Po chwili milczenia dodał jednak:

— Juści, pierwszy raz to łydki pod człowiekiem latają. Rzecz zwykła — nieprzyzwyczajenie. Ale już druga bomba to jak chleb z masłem. A potem jak przez dłuższy czas roboty nie ma, to ci tęskno...

— A towarzysz to już dużo bomb cisnął?

— Pi, pi! Żeby ja miał tyle tysięcy rubli, to ci dopiero byłby ze mnie burżuj... Ale i oto jesteśmy.

Weszli do jakiejś stancyi obszernej i pobieżnie umeblowanej, gdzie stało w wyczekujących pozach dziesięciu młodych ludzi o zdeterminowanych twarzach.

— Nareszcie — rzekł szorstko starszy, widząc wchodzących.

Inni także dawali oznaki zniecierpliwienia.

Jakoż zaraz starszy wsypał gałki w swój kapelusz i rzekł:

— Kto wyciągnie czerwoną gałkę, ten musi zgładzić bombą Malumiego. Jazda, towarzysze! A my reszta się zbierzemy tu za trzy dni. Jeżeli Malumi do tego czasu żyć będzie, raz jeszcze losowanie. Kto wyciągnie wtedy czerwoną gałkę, ten obowiązany będzie wsadzić pod czwarte żebro osiemnaście cali noża temu, który Malumiego wypuści. Zrozumiano, towarzysze?

— Zrozumiano — odrzekła chórem partya bojowa.

Wsadzili wszyscy ręce w kapelusz. Wsadził i swoją Hufniakiewicz.

Co było zaraz potem, pan Hufniakiewicz nie pamięta.

Wie jedynie, że ten, który go tu prowadził, klepnął go raz jeszcze po ramieniu i rzekł:

— A co, mówiłem ci, towarzyszu, że ci się poszczęści!

Pojęcia czasu i przestrzeni, pojęcia świata i życia poczęły się w głowie pana Hufniakiewicza mieszać. Nie wie jak znalazł się w domu i czy to było zaraz po losowaniu czy w rok. Nie wie czy tu przyszedł, czy przypłynął, czy przyfrunął.

Wie jednak, że małżonka jego, plądrując mu w kieszeniach niezawodnie, przyniosła mu czerwoną kuleczkę i zapytała:

— Mężusiu, a to co?

Na co odrzekł jej:

— Nieszczęsna, nie pytaj!...

Wie też, że potem — w minutę, w miesiąc, w rok—służąca podała mu zawiniątko jakieś:

— Kazali to oddać samemu panu do rąk — rzekła.

Odwinął... Zadrżał...

Była to bomba.

Przy bombie leżała drukowana kartka tej treści: „Instrukcya: Trzymać na płask. Rzucać na kant".

Pan Hufniakiewicz czemprędzej położył bombę na płask na biurku i objął dłońmi zrozpaczoną głowę.

— Zgubionym... Zgubionym—jęczał.

Znowu nie wie, jak długo rozpaczał tak i tak jęczał.

Ale kiedy oderwał ręce od głowy, spostrzegł, że leży przed nim kuryerek.

— Ostatni raz go widzę, nieszczęsny—począł znowu jęczeć.

I wtem — oko mu się rozjaśniło, twarz okryła się zdumieniem radosnem.

W Kuryerku był—nekrolog Malumiego...

Począł czytać. Właśnie skazaniec partyi bojowej posunął posłuszeństwo swoje dla wyroku śmierci do tego stopnia uprzejmości, że sam umarł na anewryzm serca dnia następnego po otrzymaniu wiadomości o życzeniach tej partyi.

Pan Hufniakiewicz był jakby szalony z radości.

— A więc za nic losowanie! za nic czerwona gałka! za nic bomba! za nic osiemnaście cali noża pod czwarte żebro!

Począł tańczyć i skakać po pokoju do współki z Neronem, który w dodatku do skoków i szpryńców szczekał jeszcze radośnie, dzieląc uciechę swego wiernego pana.

Gdy się uspokoił, pan Hufniakiewicz rzekł sobie:

— Zastanówmy się głęboko. Trzeba teraz jedną rzecz zrobić: pozbyć się tej przeklętej bomby.

Jak?

Po dłuższym namyśle postanowił ją wynieść za miasto i tam pozostawić ją własnym losom.

— Chodź, Nero, ze mną — zawołał, wychodząc.

Za miasto. Dobrze mieć samoobronę zawsze. Jakkolwiek był bowiem pan Hufniakiewicz członkiem partyi bojowej, pietra miał niby najordynarniejszy z burżujów.

Jakoż plan mu się powiódł. Tuż za rogatką było puste pole. Pan Hufniakiewicz obejrzał się w około; bombę położył na ziemi i sam w nogi.

Wracając do domu, myślał:

— Jedna bieda minęła. A teraz myślmy, żeby się złe nie powtórzyło. Co najpilniejszego mam do roboty, to wypisać się z partyi bojowej.

I zachodził w głowę:

— Kto mnie tam zapisał? Kto mógł mi to zrobić?

Tak dotarł do Krakowskiego-Przedmieścia. A dotarł krokiem lekkim i młodzieńczym.

I tu, przed samym cyrkułem dziesiątym, stała się rzecz niezwykła. Policyanci i żołnierze zbliżyli się do niego i pytać poczęli:

— A jeto wasza sobaka?

Pan Hufniakiewicz spojrzał na Nerona, idącego wiernie z tyłu — i struchlał...

Wierny Nero aportował w zębach przez całe miasto bombę, wyniesioną przez pana Hufniakiewicza za rogatkę.

— Nero! Nero! więc to ty mnie gubisz?! — wrzasnął.

...I obudził się.

Małżonka pana Hufniakiewicza siedziała na łóżku zestraszona:

— Lojzek! Bój się Boga, co ci jest?!

Pan Hufniakiewicz długi czas oglądał się dookoła, wreszcie szepnął:

— To był sen... sen... Ach! Nic, duszko. Opowiem ci jutro. Tymczasem zrób mi filiżankę naparu na pomarańczowym kwiecie.

IDEE PANA ADJUNKTA.

W tem miejscu potrząsnął łysą błyszczącą głową swoją, zaciągnął się papierosem, dym puścił przez nos i wywnioskował sentencyonalnie:

— Ja panu powiadam. Nie dobrze będzie teraz, nie dobrze. Wspomni pan moje słowa...

Powiedziawszy to umilkł na dłużej. Palił tylko zawzięcie papierosa. Widocznem było, iż przez to milczenie pragnął nadać słowom swoim większą wartość.

Spostrzegłszy, że czeka na to, aby go do mówienia zachęcać, wtrąciłem:

— Nie dobrze? Czyż? Panie adjunkcie...

— Mówię panu. Ja jestem człowiek doświadczony. I dziesięć lat już adjunktem. A gdzie, pytam, można nabrać więcej doświadczenia, jak nie w cyrkule? Pan się uśmiecha, widzę...

— Ja tylko potakuję...

— Nie, nie, pan się uśmiechnął. I pan się uśmiechnął ironicznie. Ja to widziałem. Ho! ho! ja mam oczko... Mnie wszyscy komisarze mojego cyrkułu zazdroszczą oczka. A przeżyłem już ich sześciu. Komisarzy. Ja w ludziach na wylot widzę.

Ja w całem mieście na wylot widzę. Chce pan, ja panu powiem, co to znaczył ten pański uśmieszek...

— Ależ, panie adjunkcie, ja bez żadnej złej myśli...

— Ja nie powiadam, że pan miał złe myśli. Panu tylko do głowy przyszło, że teraz to złe czasy nastały dla pana adjunkta, bo nikt już nie będzie dla niego taki uprzejmy jak wczoraj. I że za to będą dobre czasy dla tych, co już uprzejmi dla pana adjunkta być wcale nie potrzebują. Czy nie? Tak z ręką na sercu?

— Kiedy pan adjunkt zaraz posądza ludzi o takie brzydkie rzeczy. Pfe!...

— A ja się z panem założę, że wcale nie będzie lepiej. O co pan tylko zechce! Wie pan dlaczego nie będzie dobrze?...

— Nie zupełnie.

— Bo nie będzie łapówki. Ot, co! — zawołał prosto z mostu.

Tu znowu dłuższem milczeniem podkreślił moc i wagę odsłoniętej przedemną prawdy. I znowu zaciągnął się parokrotnie, aby po chwili puścić przez dziurki nosa dwa strumienie niebieskawego dymu.

Co do mnie wahałem się, azali mam uwierzyć w tę prawdę. Gdybym się nie był przed momentem dowiedział, że cyrkuł jest prawdziwą akademią doświadczenia, przyjąłbym tę prawdę raczej za dźwięczny paradoks. Ostrzeżony jednakże, postanowiłem zręcznie spolitykować i powiedziałem:

— To nie jest wykluczone...

Pan adjunkt wtedy podskoczył odrobinkę na

krześle i struknąwszy parę razy wskazujący palcem w stół, zawołał:

— To jest pewnik!...

I zjednany widocznie przez dowody mojej inteligencyi, nie zasklepionej w skorupie szablonowych i banalnych poglądów, począł mnie oświecać.

— Ja chcę panu jedno tylko powiedzieć: że jest ogromna różnica pomiędzy łapownikiem, prostym łapownikiem a pomiędzy człowiekiem, który bierze wziątki. Wziąć coś komuś ot, tak, korzystając z bieżącego ustroju społecznego, to paskudztwo. Ale wzamian za to, co się wzięło dać coś, co także ma swoją wartość, i nieraz dużą wartość, dać wzamian za to, co się wzięło, swoją pracę, swoją kompetencyę, swoje stosunki, swój pośpiech, swój spryt—panie, to jest całkiem co innego. Otóż niech pan zbierze na Mokotowskiem polu tych wszystkich, co mi kiedykolwiek dali łapówkę i niech pan zawoła: „Podnieś rękę ten, któremu adjunkt nie zrobił, wziąwszy łapówkę, co było potrzebne!” Niech tu mnie, na tem krześle, śmierć nagła zaraz ułucze, jeżeli choć jedna ręka z całego tego ogromnego tłumu, wysunie się do góry. Jest, panie, łapownik i łapownik. Znajdzie bo pan i takiego, co nietylko wszystko weźmie, ale jeszcze zażąda dwa razy więcej, dużo przyrzeknie i nic nie zrobi. Albo jeszcze zepsuje. Sam takich znałem. Panie, to jest prawdziwa swołocz, nie warta, żeby ją święta ziemia nosiła. Na tych to ja słów nie mam. I komu, myśli pan, oni szkodzą? Nie nam, nie mnie, nie tym, co wziąć wezmą, ale zrobić zrobią. Sobie oni tylko samym szkodzą. Oni sobie opinię popsują i tyle.

Pójdzie o takim, że on „weźmie i jeszcze zepsuje". Więc drugi nie da i tyle. I nikt nie da, ot co.

Pan adjunkt wzruszył ramionami z litością nad tymi, którzy na tyle fałszywą drogę życia zdecydowali się wstąpić.

A ja potwierdziłem ten ruch ramionami:

— Tak... tak...

Bądź co bądź, pan adjunkt mówił logicznie— tego mu nie byłem w stanie zaprzeczyć.

— A pan myśli, że ci co nie biorą łapówki, to są wszystko anioły? Ja takich znałem także w mojej karyerze. I mówię panu, z nimi nie ma życia. On leci na order, on leci na awans, on powiada tylko: „prawo, prawo"... Ja panie, ja, który biorę wziątki, to widzę, że prawo jest martwe, a do tego martwego prawa przychodzi człowiek, który jest żywy, i czujący, i który ma żonę, dzieci, potrzeby, obowiązki. Potrzebne jemu czy to poświadczenie, czy to kwalifikacya, czy cokolwiek. Ja mu to i robię. A taki, co gada tylko: „prawo... prawo"... to on często człowieka przed sobą wcale nie widzi. Jemu nie pilno, to i nie rozumie, że człowiekowi może być pilno. Pan widzi jak ja szczerze przed panem mówię. Nic nie ukrywam i nic nie przekręcam. Więc i powinien pan mi uwierzyć, gdy się panu przysięgam na co pan chce: nie znałem większych ananasów, jak kilku takich, co wcale nie brali łapówek... I gdyby wszyscy mieli być takiemi ancymonkami jak oni, to byście dopiero śpiewali... To co krzyczą po pismach jest wręcz nie prawdziwe. Absolutyzm biurokracyi!... Nieprawda! Fałsz! powiadam. Nie ten system u nas panował...

— A jakiż, panie adjunkcie?

— Jaki! Absolutyzm ograniczony.

Pokręciłem głową.

— Ograniczony? Przez co?

— Przez... przez grzeczność...

— Ah!...

— A absolutyzm ograniczony nie jest przecież absolutyzmem. Czy nie tak? Pan jako człowiek nieco piszący powinien to zrozumieć. I w tych krzykach na system wczorajszy jest dużo przesady. Wiesz pan człowiekowi doświadczonemu...

Do tej chwili miałem dla pana adjunkta uczucie instynktownego poważania. Od tego momentu jednak począł mi prawdziwie imponować. Nie był to mąż płytki. Sięgał on rzeczom pod skórę. Z wielkiem doświadczeniem, przez długoletnią praktykę w cyrkule nabytem, łączył on, jak spostrzegałam, i pewne teoretyczne wiadomości. Czułem się coraz to gruntowniej uświadomiony.

Pewien punkt, kwestyi omawianej, tonął przecież dotychczas w ciemnościach.

— Wszystko to dobrze — powiedziałem — ale jakże zrobić z biednymi? Biedny nie ma na łapówkę...

Pan adjunkt kiwnął głową. Widocznie sprawa ta nie znalazła go nieprzygotowanym:

— Przecież różnica pomiędzy biednymi, a bogatymi być musi—odrzekł.—Zresztą, musi nie musi, ale jest. To fakt. A kto, pytam, robi tę różnicę? Sami biedni.

— W jaki sposób?

— Nie mając pieniędzy. Gdyby biedny po-

starał się o pieniądze, to nie tylko, że zniknęłaby różnica pomiędzy nim a bogatym, ale na tej drodze doszlibyśmy nawet do zupełnego usunięcia proletaryatu. Ale to już inna para mankietów. Wracając do cyrkułu, pan mnie pyta, co ma robić biedny, który doszedł do tak straszliwej nędzy, że go nie stać nawet na łapówkę?

Albo to mnie pierwszyzna?! Niech przyjdzie. Niech przeprosi, niech się wytłomaczy, niech rewirowy poświadczy, jako taki to a taki, zamieszkały tu to, a tu to, łapówki dać nie może. Ja go wtedy zeklnę, zwymyślam, ale zrobię co potrzeba.

— Tylko dlaczego...

— Go zwymyślam? Żeby mu jego niedołęztwo przed oczy przedstawić. Żeby go w ambicyę wbić. Żeby mu energii dodać do lepszego ruszania się w życiu. To trzeba znać ludzi, zwłaszcza prostych ludzi. Jemu żona, jemu dzieci, jemu obowiązki—nic. Ale jak jemu w cyrkule nawymyślają, to on spostrzega, że jest nad nim jakaś władza, że ta władza czuwa i że trzeba się starać... Przynajmniej tak bywało do niedawna. A teraz...

Tu pan adjunkt ręce rozłożył.

— Teraz będzie źle... I nam i wam...

— Czy jednak teraz zupełnie łapówki ustały?

Skrzywił się pan adjunkt.

— Nie można tego powiedzieć. Kapie coś tam, kapie. Ukradkiem się daje teraz, ale się daje... Tylko, że jak policzysz w końcu miesiąca, i dziesiątej części nie ma tego, co było... A pensya? Plunąć na nią ledwie, że warto.

— Cóż. Popodwyższają pensye. To niezawodne...

Pan adjunkt się żachnął:

— Ot, i wtedy dopiero wyjdzie na jaw jak to w niej wszystko było sprawiedliwe!...

— Doprawdy?

— Posłuchaj pan. Kazna podniesie pensye urzędnikom. Dobrze. Ale zkąd kazna na to weźmie? Podniesie podatki. Więc na moją podwyżkę wszyscy się złożą. I pan, i hrabia, i chłop, i robotnik. Jak jest teraz? Pan chce sobie pojechać za granicę, pobaraszkować w Paryżu, albo w Monte-Carlo szczęścia spróbować. Więc panu potrzebny jest paszport. Paszportu panu nie wydadzą bez kwalifikacyi z cyrkułu. Po kwalifikacyę pan do mnie. Moja taksa—rubla. A nie, to „proszę przyjść jutro, bo dziś nie ma czasu". I cóż się dzieje? Pan wyjeżdża za granicę, panu potrzebny paszport, więc pan płaci za kwalifikacyę. Niech zniosą łapówkę, niech zastąpią ją podwyżką — kto wtedy płacić będzie za pański wyjazd za granicę? Wszyscy. A więc — ludinnemi słowy. I ten biedny chłop, bezrolny albo małorolny, który w przednówek głodem przymiera. Także i ten proletaryusz fabryczny, który siły i zdrowie traci w powietrzu dymem i wędem maszyn zatrutym. Jeszcze i ten nędzarz wyrobnik, który co zimę musi w dobroczynnych instytucyach oparcia szukać, żeby nie zmarnieć na śmierć. I to ma być słuszne?! I to ma być sprawiedliwość?!

W tem miejscu wtrąciłem z uśmiechem:

— Ho! ho! Ale ja spostrzegam, że pan adjunkt także jest socyalista...

Pan adjunkt otworzył szeroko powieki i w tył się nagle cofnął całem ciałem.

— Co? ja? socyalista?

— Najwyraźniej...

Było to tak dla pana adjunkta niespodziewane, że widocznie stracił zupełnie swoje oczko, którego mu sześciu komisarzy zazdrościło i nie spostrzegł mojego uśmiechu albo nie zdołał odcyfrować jego znaczenia.

— Ja przecież żartowałem—powiedział.

Miał jednak wyraz twarzy sztuczny i wymuszony.

A spostrzegłszy się, że tą drogą nie cofnie się dość gładko, nachylił się ku mnie z miną proszącą i głosem mięciuchnym szepnął:

— To była przecież konfidencyonalna rozmowa. Pan tego nie będzie rozgadywał...

A jakże?!...

„ONI“.

HISTORYA OGROMNIE WSPÓŁCZESNA.

Kiedym, dnia tego, wszedł do pokoju redakcyjnego, sekretarz „Świata” podał mi na powitanie dłoń chłodną i drżącą i przemówił w te słowa:

— Panie! gotuje się coś niedobrego...

Uśmiechnąłem się szyderczo na te wyrazy, nikczemnej trwogi pełne, i z nonszalancyą, pełną szalonej brawury zapytałem:

— Dla kogo?

Odrzekł krótko:

— Dla nas.

— To jest dla pana i dla... dla mnie?

Powiedział dobitnie:

— Tak jest.

W tem miejscu istotnie przysiadłem na krześle. Dziwactwo mojej natury polega bowiem na tem, że o ile niebezpieczeństwo jest mi obojętnem, a nawet nieraz i ponętnem, znoszę je w tych razach jedynie, kiedy ono jest dalekiem od mojej osoby, jak też i od miejsc, które mam zwyczaj odwiedzać.

Sekretarz „Świata” milczał ponuro.

— Więc pan myśli, że *oni* chcą czegoś odemnie?—zapytałem.

Kto to *oni?* Pojęcia nie miałem wogóle. Ale szło mi tylko o ten punkt zasadniczy, azali oni odemnie coś chcą czy też od kogo innego.

Jakoż sekretarz „Swiata" pośpieszył mi powiedzieć coś, co mi nie mogło być w danej chwili obojętnem:

— Nie od pana, ale od redaktora. A to jeszcze gorzej.

Wstałem natychmiast z krzesła. I zawołałem:

— Oczywiście, że to gorzej. Ja bowiem, ja, dałbym sobie z nimi radę.

Na to wszedł pomocnik redaktora.

Był blady i miał oczy na wierzchu.

— Mówiłeś pan Kosiakowi o tem?

— Mówiłem...

— No i co?

— A no, nic.

— Oni mają zaraz przyjść. Nie odchodź pan. Oni pana będą się może bali. Bo nas się nie boją.

— Z miłą chęcią — odrzekłem — ale właśnie dała mi na tę godzinę *rendez-vous* najpiękniejsza kobieta Warszawy...

Zawołali jeden przez drugiego:

— Poczeka...

— Nie opuszczaj nas, na miłość Boską!

— Dobrze—odpowiedziałem — wiedzcie, że jestem gotów do ofiary.

W myśli mojej powstał w tej chwili pewien plan strategiczny, oparty na tym fakcie, że do re-

dakcyi „Świata” można wejść aż przez troje drzwi, no, i przez tyleż wyjść.

Ale kiedym czynił przygotowania do wykonania tego planu, naraz jeden z moich kolegów redakcyjnych zawołał półgłosem:

— Oni...

I wszyscy zaraz skurczyliśmy się za biurkami naszemi.

Jakoż wszedł do redakcyi jakiś człowiek, bardzo młody jeszcze, z trochą mchu pod nosem, ale zbudowany bardzo krzepko, z twarzą wyzywającą i wzrokiem zuchwałym.

Zapytał głosem, w którym czuć było przytłumioną grozę:

— Pan redaktor wrócił z polowania?

— Nie jeszcze—odrzekł jeden z nas; sam dobrze nie wiem nawet kto; może ja; ale zdaje mi się, że kto inny raczej.

— A kiedy wróci?

— Nie wiemy.

Osoba postała długą chwilę na środku pokoju, potem rzekła:

— To ja tu wrócę.

I wyszła.

Podniosłem wtedy głowę:

— Jeden tylko był. A wy mówicie *oni*...

Na co koledzy moi zaczęli wołać:

— Ten Kosiak, jak Boga kocham, nic nigdy nie wie...

— Drugi drab stoi przy drzwiach...

— Pilnuje...

— O! patrzcie ich...

Wyjrzałem przez okno. Istotnie, szło przez ulicę dwóch drabów. Jeden znajomy już, krępy; drugi również młody, ale mający ze trzy łokcie wzrostu i pięści?! co za pięści?! Trzymał jedną rękę w kieszeni przytem. Tylko głupi nie domyśliłby się, że w tej kieszeni był brauning.

Spojrzeliśmy sobie z kolegami w oczy.

Wreszcie rzekłem:

— I któż to jest właściwie?

Pomocnik redatora rzekł ostro:

— Bandyci! ani chybił!

Ale sekretarz rzekł ostrzej jeszcze:

— Jacy tam bandyci. To bojowcy! niema wątpliwości!

Pomocnik redaktora rzekł:

— Bandyci! Ani wątpić! Zbyt ponure miny mają...

Sekretarz odpowiedział:

— Kiedy bojowiec idzie na robotę, to też nie jest uśmiechnięty jak anioł...

Pomocnik redaktora odparł:

— Bojowcy byliby lepiej ubrani, żeby nie zwracać uwagi...

Sekretarz replikował:

— To bandyci byliby staranniej ubrani. Ten fach tyle popłaca obecnie...

Przerwałem tę dyskusyę:

— Ale czegóżby chcieli od naszego redaktora bandyci?

— Nic!—odrzekł sekretarz.

— Przepraszam — zawołał pomocnik redakto-

ra — oni wiedzą, że „Świat” idzie jak woda i że mamy złota jak lodu.

Znowu się wtrąciłem:

— A czegóż chcieć mogą bojowcy?

— Nic!—zawołał pomocik redaktora.

— Przepraszam — odrzucił sekretarz.— Tyleśmy razy występowali przeciw socyalistom, że przychodzą oni wykonać...

— Co wykonać?!—wrzasnęliśmy.

— O! niby to nie wiecie?! No, ten... jakże się on nazywa... bodajże cię... aha, wyrok śmierci.

Nie straciłem ani na moment ducha, ponieważ stało się już teraz jasnem, że nie mnie przeznaczono być bohaterem tej powieści.

Zapytali mnie:

— Co robić?

Poradziłem im odrazu:

— Gwizdajcie na to!

Nic nie odrzekli. Ale czułem, iż są pełni dla mnie podziwu.

Nazajutrz miałem pilny interes gdzieindziej. Trzeciego dnia również.

Jednakże przeglądałem uważnie nekrologi i rubrykę wypadków, aby nie powiedziano, że los kolegów po piórze jest mi obojętnym.

Czwartego dnia dopiero, ułatwiwszy się z nawałem zajęć, wstąpiłem do „Świata”.

Koledzy moi siedzieli przy biurkach, spokojni, zadumani, uroczyści. Odrazu widać było, że niebezpieczeństwo minęło.

Zapytałem:

— Draby były?!

Uśmiechnęli się obadwaj do mnie.

— Były—odrzekli.

— I cóż?—bandyci?!

— Ale, zkąd znowu! — krzyknął tryumfująco sekretarz.

— Więc bojowcy?

— Ani odrobiny! — wrzasnął zwycięzko pomocnik redaktora.

— Któż to był zatem?

Poczęli mi opowiadać:

— Ten krępy przyniół sonet. Tak, poprostu sonet. Może go umieścimy w „Świecie". Sonet z jesiennym nastrojem. Pod tytułem: „Historyjka wróblika ze złamanem skrzydełkiem".

— A ten drugi drab, wysoki?

— To był właściwie autor sonetu. Ale traktował z nami tamten, krępy!

— Czemuż to?

— Bo ten wysoki jest strasznie nieśmiały. Do redakcyi?! Nie śmiał. Serce zamocno mu biło, biedakowi. Młody autor...

— Bał się, co?

— A bał się nieboże...

DNIA JEDNEGO.

Nastąpiły więc czasy kiedy rzemiosło bandyckie stało się mniej popłatne, ale za to znacznie bezpieczniejsze. W ten sposób jedno skompensowało drugie do tego stopnia, że rzemiosło owo, pomimo ogólnego upadku kraju, potrafiło jednak stać ciągle na pewnej wyżynie rozwoju, dając świadectwo, że nie wszystka energia i pomysłowość w narodzie wymarła.

To rzemiosło stało się mniej popłatnem, albowiem gotówka wszelka tak się szczelnie pochowała, że potrzeba teraz geniuszu wynalazczego, aby gdzieś „wynaleźć" trzy ruble w jednym papierku, a osoby posiadające więcej niż cztery złote jednorazowo uważane były za kapitalistów. Wzrosło jednak bezpieczeństwo, jak się rzekło, albowiem bandyci mogą operować już otwarcie, w biały dzień, przez nikogo nie niepokojeni. Obywatelom poodbierano albowiem wszystkie scyzoryki, uważając, że nóż do przecinania kartek książki wystarczy im do obrony. Zaś funkcyonaryusze porządku ciągle mają co innego do roboty nad zawracanie sobie głowy pretensyami obywateli.

W braku gotówki i biżuteryi bandyci więc zmuszeni oto kontentować się pościelą, bielizną, meblami i sprzętami kuchennymi. W tej właśnie epoce ich działalności miałem szczęście osobiście podziwiać sprawność i wielką metodyczność tych rzemieślników, którzy nawet zagranicą, pomimo wysokiego stanu kultury ościennych krajów, nie mają rywalów.

Zajęty byłem pisaniem poematu.

Redaktor obstalował bowiem u mnie poemat, motywując swoje zamówienie następującym nieprzepartym sylogizmem:

— Ludzie obecnie są goli. Ludzie goli lubią poezyę. To sprawdzono przez doświadczenie. Machnij zatem, kochanie, poemat na dwa tysiące wierszy, a zarobisz kilka złotych.

Pisałem więc poemat. A kilka złotych by mi się bardzo przydało, bo w domu nie było grosza i tego dnia żona oświadczyła mi, że w sklepiku nie chcą już dać na kredyt nawet chleba.

Otóż kiedy szukałem rymu do słowa „niebotyczny" weszła moja żona i rzekła do mnie:

— „Panowie" przyszli...

Zapytałem się:

— Jacy panowie, duszko?

Gniewnie powtórzyła.

— No, „panowie"!

— A czegóż oni chcą, aniołku?

— Przyszli po rzeczy.

— Po rzeczy, kochanie?

— Tak, po rzeczy, po nasze rzeczy. Potrzebne im są albowiem nasze rzeczy...

Wyjrzałem przez okno.

Przed domem stały dwie duże drabiniaste fury, zaprzężone każda w parę rosłych i pięknych koni, a kilkunastu panów uwijało się dookoła furtki, gawędząc swobodnie.

Starszy pan postawił dwóch zwyczajnych panów na drodze, jednego twarzą i lufą w prawo, drugiego w takiż sposób w lewo, poczem zagrzał gromadkę swoją do roboty komendą:

— No! wynosić chłopcy!...

Wtedy panowie weszli do salonu i poczęli wynosić z niego nasz miękki garniturek mebli, lustra i drobiazgi.

Moja żona usiadła w kącie i poczęła cicho, ale rzewnie płakać.

Ja zaś pomyślałem sobie, że długo by mi przyszło szukać obecnie rymu do słowa „niebotyczny".

Mruknąłem przeto:

— Pisz tu w tych warunkach wiersze.

I rzuciłem pióro precz od siebie.

Przyznaję otwarcie, iż w tej krytycznej chwili jedynie tylko nasza służąca nie straciła głowy. Stanęła spokojnie, w pozie nawet bohaterskiej przed oknem kuchni, skrzyżowała ręce na piersiach, i nic a nic nie robiąc sobie z operatorów, nuciła pod nosem z niezmąconą brawurą, przez cały czas operacyi:

„Porządek stary już się wali
Już ginie stary podły świat.
My nowe życie stworzym sami
I nowy zaprowadzim ład..."

Kiedy starszy pan wszedł do mojego gabinetu, widok płaczącej w kątku żony mojej uczynił na nim widocznie wrażenie.

Usiłował ją pocieszyć:

— Cóż pani tak beczysz, jakby to było znowu olaboga?!... Byle tylko Pan Bóg zdrowie dał, to już jakoś tam będzie...

Moją żonę przekonało to jakoś.

Ucichła bowiem.

Jednak kiedy panowie pochwycili otomanę, biedaczka poczęła znowu szlochać.

Starszego pana to najwidoczniej żenowało.

Znowu zwrócił się do niej i łagodnym tonem złożył jej obietnicę:

— Niech się pani tak znowuj nie martwi. Już ja będę w tem, żeby te rzeczy dostały się w dobre ręce...

Ja tymczasem podziwiałem wielką sprawność tych ludzi, którzy czynili wyprowadzkę ze zręcznością, budzącą podziw. Pod ich delikatnemi rękami nie odezwał się przez cały czas skrzyp łamanych części, ani brzęk tłuczonego szkła, ani rozdzieranię się miękkich materyi. I jak to szło wszystko prędko! Zawodowi „wyprowadzacze"....

Jedynie biurko moje, po pradziadku puścizna, mahoniowy mebel masyw, zręczność tę począł wystawiać na próbę.

Chwyciło go dwóch panów.

Nic.

Chwyciło trzech.

Nic.

Serce poczęło mi z rozrzewnienia tajać.

— Nie da się—pomyślałem radośnie.

Ale w tej chwili starszy pan zwrócił się do mnie:

— Nie stoić tak! Nie gapić się! Cóż to?! Ręców nie ma?! Dalej do roboty...

Chwilę się obracałem na pięcie.

Ale starszy pan imperatywnie krzyknął:

— Brać za róg!...

Wziąłem więc za róg moje poczciwe starożytne biurko.

Drgnęło...

Starszy pan krzyknął ostrzej jeszcze:

— Mocniej! Z całej siły!

Wtedy jakby z żalu, a może i oburzenia na mnie oderwało się od ziemi...

Starszy pan był ze mnie kontent. Poklepał mnie po ramieniu.

Wszystkie inne meble pozwoliły się już wynieść bez protestu.

Nie trwała ta cała operacya nawet godziny. I z całego naszego umeblowania pozostały jedynie fotografie rodzinne i doniczki z kwiatkami.

Moja żona ciągle płakała.

— Co my teraz poczniemy — rzekła w końcu, zwracając ku mnie oczy, łez pełne.

Odrzekłem na to:

— Trzeba się naprzód posilić po doznanych wrażeniach.

Smutna bąknęła:

— Ty wiesz, w sklepiku...

— Głupstwo—rzekłem.

I pokazałem jej błyszczącą czterdziestówkę.

Oczy jej się rozpogodziły.

— Pieniądze?!—zawołała.—Zkąd to masz?...

— Dostałem.

— Od kogo?

— Od starszego pana...

— Jakto?...

— Na piwo... żem im trochę pomagał przy robocie...

ŻYCIE IDZIE W KÓŁKO.

ZE ZWIERZEŃ ZNAKOMITEGO CZŁOWIEKA.

Siedzieliśmy, z moim przyjacielem Tomciem, nad brzegiem któregoś z jezior szwajcarskich.

Zwaleni na ławce, w cieniu, jaki nam na głowy ciskała zwarta gąszcz liści kasztana, patrzyliśmy przed siebie znużonym wzrokiem na ściany gór, zastępujących nam świat tuż zaraz za zielonkawą tafią wodną—i milczeliśmy. Przyjechaliśmy tu na wypoczynek obadwaj. Tomcio po wykończeniu swojej nowej, równie znakomitej jak poprzednie powieści, ja po długiem obracaniu w kółko młyńskiego kamienia dziennikarskiego.

Robił się wieczór.

Do przystani, o kilkaset kroków od naszej ławki wsuwającej w wodę długi rękaw pomostu, podchodził zgrabny statek. Gromadka dzieci, wracających z wycieczki pod wodzą nauczyciela, śpiewała słabymi głosikami pieśń jakąś. Zasłyszeliśmy kilka wyższych jej tonów.

Tomcio mruknął:

— Wytrzymały naród. Na końcu długiej, pewno całodziennej zabawy, chce im się jeszcze śpiewać...

Odmruknąłem mu, aby jakiśkolwiek dźwięk wydać:

— Młodość...

I zaraz pogrążyłem się w zadumę, tę zwierzęcą zadumę wyczerpanego stworzenia, które patrzy nie widząc, słucha nie słysząc i majaczy najbardziej pospolitemi, szaremi i zgoła niepowiązanemi myślami.

Ale w Tomciu pod wpływem wieczornej świeżości, zdaje się, obudził się duch:

— Młodość, mówisz... Coś ci powiem, chcesz?

Odrzekłem:

— Thy... Chcę...

— Opowiem ci pierwsze moje wstąpienie w świat literacki...

— Na temat młodości?

— Na temat młodości...

— Bardzo byłeś głupi wtedy?

— Bardzo.

— No, to wal...

Tomcio poprawił się na ławce i zaczął opowiadać:

— ...Wychowałem się i wzrosłem, jak wiesz, na prowincyi i to w jednym z zakątków jej, najuboższych intelektualnie, będącym prawdziwą pustynią ducha. Przynajmniej dla młodzieńca, mieszającego na każdym kroku tęcze poezyi z piaskami rzeczywistości, jakim ja byłem. To też przez całą moją młodość odczuwałem pewien szczególny głód, pewne dojmujące pragnienie: brakło mi zawsze towarzyszów, choćby jednego towarzysza.

— A w gimnazyum?—zapytałem.

— ...W gimnazyum, w wyższych klasach, było mi stosunkowo najcieplej. Ale, co chcesz, między moimi kolegami nie było ani jednego artysty. Moje ambicye literackie były sądzone jako zarozumiałość i pycha, moja oryginalność jako bziki i dziwactwa, moje potrzeby liryczne przywiązania i przyjaźni jako pozowanie. Jednem słowem byłem niezrozumiany przez ludzi, całkiem do mnie niepodobnych. Byli to zresztą wszyscy kandydaci na medyków i techników.

...Ledwiem skończył gimnazyum, trzeba było na kawałek chleba pracować.

...Społeczeństwo zgadzało się ten kawałek chleba mi odkroić w miasteczku, wobec którego moje gimnazyalne miasto było jeszcze wielką stolicą... Ale wyboru nie miałem. Zresztą—wierzyłem w siebie.

...Tylko ten głód dawny ciągle trwał.

...Trwał jeszcze długo. Lata.

...Aż wypłynąłem...

...Stało się to zgoła nagle. Ogłoszono konkurs na powieść. Miałem właśnie powieść gotową. Ba! miałem już ich gotowych cztery. Ostatnią przejrzałem uważnie, przerobiłem, przepisałem, jeszcze raz przerobiłem, jeszcze raz przepisałem... Pierwsza powieść! Człowiek robi sobie z nią tyle ceremonii, co z pierwszą kochanką...

...W końcu posłałem.

...Paff! Pierwsza nagroda!

...Dzień szału. Dwa dni radości. I potem — ma człowiek chłodną pretensyę do losu, że to wszystko nie stało się wcześniej.

...W Warszawie. Jeden z najpoważniejszych

redaktorów zaprasza mnie do siebie. Na jutrzejsze zebranie czwartkowe.

— Pan nie zna naszego świata literackiego?

— Ani trochę.

— Ano, to pozna pan...

...I wymienia kilkanaście nazwisk najgłośniejszych, najbardziej znanych, najświetniejszych.

..Mówię do siebie z radością, dumą, wzruszeniem:

„Jutro mam wstąpić na Olimp warszawski"...

...Żyć dziesiątek lat literaturą, poezyą, sztuką i nie módz z nikim rozsądnie zamienić kilkunastu słów o tem, czego dusza jest pełna? nie wyrzucić nigdy w żywym geście, w dźwięcznem słowie swoich literackich entuzyazmów, umiłowań, wstrętów?! kisnąć i gorzknieć i rdzą się zjadać samotnie i od samotności, w najpiękniejszej porze życia?!

...Ach, co za męczarnia?!...

...Ale, myślałem, ta straszna, więzienna, wygnańcza epoka skończyła się oto dla mnie.

...Żywą radość, jaką odczuwałem idąc na on Olimp, tłumiła jednak pewna niepokojów pełna obawa.

„Czy ja nie będę zbyt małym i zbyt mizernym w tem świetnem gronie? Czy nie zdradzę się z tem, iż mam za mało wykształcenia, oczytania, pogłębienia, inteligencyi, samodzielności sądu? Czy nie wylezie na wierzch moje wewnętrzne ubóstwo?..

...Wiedziałem, że mam braków mnóstwo; że klasyczna archeologia jest mi prawie obca; że o historyi sztuki mam ledwie pobieżne pojęcie; żem filozofii zgoła nie studyował; że nie znam ani angiel-

skiego języka, ani włoskiego, ani hiszpańskiego a i niemiecki, prawdę mówiąc, dość słabo.

...W miarę jak zbliżał się wieczór, moja wizyta nabierała coraz bardziej kształtu jakiejś straszliwej dla mnie loteryi.

„Jeżeli rozmowa padnie na Schillera, albo Schelley'a albo jeszcze na Racine'a—myślałem—to jestem zgubiony.

..,Krzepiłem się jednak tą myślą, iż ta rozmowa, niby gałka latająca po czarnych i czerwonych numerach rulety, może upaść na poezyę polską, albo na powieść francuską... A wtedy niebardzo się boję tych bogów z warszawskiego Olimpu...

...Tak więc, drżąc ze spodziewań się i obaw, pocisnąłem dzwonek...

Przerwałem mu:

— Resztę już wiem.

— Opowiadałem ci kiedy?

— Nie. Ale to jasne.

— Myślisz?

— Dokończę ci. Zebrało się dużo starych pierników.

— Mnóstwo...

— I przez cały wieczór nie powiedzieli o sztuce lub literaturze ani jednego słowa.

— Naturalnie...

Długie milczenie położyło swoją pauzę w tem miejscu dyalogu.

Potem tak ciągnął dalej:

— Zebranie było bardzo ożywione, anegdotka goniła anegdotkę, wszyscy bawili się doskonale...

— Prócz ciebie.

— Nie. I ja. Oczy moje pochłaniały tych ludzi, z których ani jeden nie przypominał dzieł swoich, a myśl była uderzona temi różnicami, zaskoczona i rozciekawiona. Przytem anegdotki wszystkie były bardzo dobre. Niektóre opowiadano po mistrzowsku. Stary Brona, który, jak wiesz, nie miał za złamany szeląg talentu, opowiadał przeznakomicie. Trząsłem się od śmiechu. Ale wszystko to uważałem za wstęp, za prolog, preludyum. Czekałem, kiedy ci ludzie poczną się brać za łby, broniąc tych lub owych teoryi literackich. Na porządku świata był wtedy realizm. U nas trochę się sprzeczano o potrzebę i szkodę, pożytek i niepożytek tendencyi w sztuce. Byłem przekonany, że to, co dochodzi do pism w tej sprawie, są to tylko echa walk, odbywających się w ogniu gorącym za kulisami prasy i literatury.

— Że literaci mówią ze sobą o tendencyi w sztuce i o realizmie w powieści przy każdziutkiem spotkaniu...

— Tak. A cóż dopiero na zebraniu. Na zebraniu literackiem, gdzie jest dwudziestu królów literatury. Więc czekałem...

— Aż tu podają kolacyę...

— Podają ją o jedenastej. Myślę sobie zaraz, że to po kolacyi właśnie jest zwyczaj traktować poważne przedmioty. Nic dziwnego. Jak to pójdzie—to pewno się rano dopiero skończy?!... W każdym razie jestem ośmielony tym wstępem, gdzie olimpijczykowie pokazali mi dość pospolite, ludzkie twarze i wcale już nie mam obaw o swoją kompromitującą małość umysłową. Więc kolacya. Jemy,

pijemy. Anegdotki trwają, tylko, ze względu na obecność przy stole pani domu, robią się cenzuralniejsze. Kolacya wreszcie skończona...

— Olimpijczykowie powoli wychodzą do domu

— Tak. I spostrzegam to z niemem przerażeniem. Jest nas coraz mniej. Rozmowa pada na jakieś zmiany w jakiemś piśmie, osobiste i finansowe. Anegdotki przynajmniej były zabawne. Wreszcie podnoszą się ostatni biesiadnicy. I ja z nimi. Do hotelu wypada mi droga niedaleka. Odbywam ją z jednym olimpijczykiem. I mówimy—o pogodzie... Tak, o pogodzie. Pamiętam niemal każde słowo tej rozmowy...

— I rezultatem tej wycieczki na Olimp?

— Głęboka pogarda, ciężka, żrąca pogarda dla ludzi, którzy wczoraj, wczoraj jeszcze, jako prawdziwi i święci mojego kalendarza, chodzili w złotych nimbach, przed oczami mojego ducha. Mój Olimp runął w przepaść.

— Zostałeś ąteistą.

— Zupełnym.

— Cierpiałeś?...

— Ja myślę. Pewno nawet więcej, aniżeli myślę. Proza życia zaczyna się dla mnie, przypuszczam, od tej właśnie chwili.

Znowu dłuższe milczenie.

— I długo żyłeś tą pogardą?

— Albo ja wiem? Pewno długo. Nie później jednak, jak do czasu, gdy sam zostałem...

— Starym piernikiem...

— Starym piernikiem. Określić terminu nie umiem. Ale nie od dziś zdarza się, że spotykam

jakiego młodego, poczynającego literata, który się garnie do mnie entuzyastycznym ruchem. A odchodzi odemnie z jakimś złym błyskiem w oczach. Mówię sobie wtedy: „Rozumiem cię, kotku, ale cóż ja na to pocznę”... Mam mu nawet ochotę powiedzieć: „Tak, tak, co było ciekawego we mnie, to znajdziesz w moich książkach; reszta nic nie warta”. Ale zbyt jestem znużony, zmęczony, zbyt dużo mam literatury na codzień. Nie chce mi się. Oto gdyby on chciał mi opowiedzieć historyę swojej pierwszej miłości — bo musiał się już kochać— posłuchałbym z przyjemnością. Ale to mu na myśl przyjść nie może. On chce odemnie złotych słów, brylantowych myśli, tego wszystkiego, i na zawołanie, co udało się rzucić z głębi duszy kilkakrotnie w życiu, w chwilach natchnienia. Ależ, mój mały, naprzód śpieszę się do domu, potem napisałem dziś cały rozdział powieści, w końcu mam lekkie odęcie wątroby i muszę się napić karlsbadu. Ale on tego wszystkiego nie może zrozumieć. I odchodzi odemnie z pogardą...

— Za którą los go ukarze.

— Myślisz?

— Srogo...

— W jaki sposób?

— Jak ciebie za to samo ukarał.

— Ach! zostanie i on piernikiem.

— W swoim czasie... Życie idzie w kółko.

Doskonały pomysł
do dramatu albo powieści.

W tych dniach zjawił się przy moim biurku młody, dystyngowany człowiek, którego niedawno poznałem przelotnie w pewnem eleganckiem towarzystwie i zaproponował mi literacką współkę.

Chciałem odrzec na to coś wymijającego, ale młody, dystyngowany człowiek uprzedził pierwsze słowo mojej odpowiedzi.

— Panu wydaje się zuchwalstwem, że ja, nieznany nikomu z moich zdolności, śmiem czynić propozycyę tej treści człowiekowi, którego sława...

— Ja mam dziś u doktora...

— Mnie samemu zbrakłoby śmiałości, gdyby nie to, że pomysł, który mi przyszedł do głowy...

— O siódmej właśnie... i tak będę spóźniony...

— Sam pan go oceni i przekona się, że wszystko zeń można zrobić. Dramat, tragedyę, powieść, poemat...

— I mogę go już nie zastać...

— Trzy momenty panu tylko zaznaczę. Jeżeli pan się nie zapali do tego pomysłu, to nazwie mnie pan dudkiem, osłem, baranem, czem pan tylko będzie chciał.

To mówiąc usiadł.

— Panie, moment pierwszy: Stary, szlachecki dwór w kaliskiej gubernii (może być i w lubelskiej, to wszystko jedno). Ojciec umarł, matka niezaradna, syn młody, córka piękna. Ruina. Subhasta. Jutro ma przyjechać komornik. Rozpacz. Żadnego już ratunku. Żadnego. Co robić? Matka się modli, syn złorzeczy, córka łamie ręce. Białe, piękne ręce. Wtem—ktoś zajeżdża przede dwór. Bryczka. Wysiada z niej nieznajomy człowiek. Kłania się grzecznie. Mówi, że słyszał, iż rodzina jest w potrzebie; że gotów przyjść z pomocą, że pożyczy, ile trzeba. To mówiąc, kładzie przed zdumioną rodziną dużą kopertę. Rodzina rzuca się na kopertę. Okrągłe sto tysięcy rubli samemi storublówkami. Radość. Chcą podziękować. Nieznajomy już odjechał.—Moment pierwszy.

Młody, dystyngowany człowiek umilkł.

A ja?

Ja bąknąłem:

— To ciekawe...

Młody dystyngowany człowiek, już z miną dyskretnie tryumfującą, ciągnął:

— Moment drugi. Upływa lat dwa. Szczęście zapanowało we dworze. Matka ma się dobrze. Syn podróżuje po świecie. Córka wychodzi za mąż. Za sąsiada. Ten sąsiad jest arcybogatym i hrabią w dodatku. Wszyscy się cieszą. Syn wraca z podróży. Na ślub. Naraz...

— Wchodzi nieznajomy...

— Nie jeszcze. Naraz córka zapada na zdrowiu. Nagle ale gwałtownie. I gaśnie w oczach.

Doktorzy. Konsylia. Nic. Umrze. Rozpacz. Wtem...

— Wchodzi nieznajomy...

— Wchodzi nieznajomy. I przynosi lekarstwo. Z Indyi lekarstwo. Prosi, żeby spróbować. Ryzyka przecież nie ma, bo chorą lekarze na śmierć skazali. Istotnie. Nie zaszkodzi. Młoda dziewica próbuje lekarstwa indyjskiego. Zaraz jej lepiej. Bierze jeszcze... Lepiej. Trzy dni mija. Piękność wstaje z łóżka i idzie do ołtarza z arcybogatym hrabią. A nieznajomy znowu zginął. Jak kamień w wodzie.

Szepnąłem:

— Nadzwyczajne!

Młody, dystyngowany człowiek nie tłumił już wyrazu tryumfu na obliczu.

— A co?! nie mówiłem!

I mówił dalej:

— Moment trzeci. Indye. Podzwrotnikowy las, pełen zbójeckiego zwierza i zbójeckiego człowieka! Młody obywatel z kaliskiej gubernii (albo z piotrkowskiej, to nie gra roli) podróżuje. Wspomina o matce, która zażywa starości w spokoju i w dworze ojców. Wspomina o siostrze, która jest piękną i hrabiną. Wspomina o dziwnym dobroczyńczy, który dwa razy ich ocalił w tak niespodziewany i radykalny sposób. Kto on? Kto on? Wtem...

— Zjawia się nieznajomy...

— Nie jeszcze. Wtem wpada banda induskich zbójów. Pieniądze albo życie! Młodzian oddaje im książeczkę czekową. Zbóje się straszliwie śmieją. „Na co nam to" — wołają. — „Nie mam pienię-

dzy innych". „Więc dasz życie". I radzą, w jakiby tu sposób, najokrutniejszy ze wszystkich, zamordować go. Wiążą mu ręce i nogi. Nagle—strzały. Jeden zbój pada. Drugi zbój pada. Inni w nogi. Nad związaną ofiarą nachyla się dobrze znajoma twarz nieznajomego. „To ty"?! — woła ofiara. „Tak, to ja"—odpowiada nieznajomy.

Młody, dystyngowany człowiek zatrzymał się nagle, jak pociąg, któremu maszynista puścił kontraparę.

— No?!—rzekłem.

— Już—odpowiedział.

— Co już?

— Mój pomysł.

— Ale któż to jest ten nieznajomy?!

— Ba! żebym ja wiedział, tobym sam napisał dramat albo powieść. Nie szukałbym wspólnika...

Ciekawa historya o Cornusie,

który sprzedał dyabłu duszę dlatego tylko, aby posiąść piękną burmistrzankę.

ZE STARYCH FASCYKULÓW SKOPIOWANE.

Około końca wieku szesnastego w pewnem starożytnem mieście wychował się wśród służby bardzo uczonego kanonika, słynnego humanisty i kandydata na stolicę biskupią, chłopiec nizkiej kondycyi, nazwiskiem Cornus, sierota po organiście katedralnym. Gdy podrósł do tego punktu, w którym każda podwika, przechodząca w pobliżu, czyni człowiekowi różnicę, kanonik zwrócił na niego uwagę przy następującej okazyi: Marcin sukiennik przyszedł ze skargą na Cornusa, że mu żonę bałamuci, a jako *corpus delicti* przyniósł znaleziony w kącie komody, ręką Cornusa napisany, sonet miłosny. Kanonik wysłuchał uważnie skargi, sonet przeczytał i obiecał wyrostkowi natrzeć uszu. Ledwie też Marcin sukiennik wyszedł, kanonik zawezwał Cornusa przed swoje oblicze i surowym głosem zapytał:

— Tyś to pisał?

Nogi zatrzęsły się pod Cornusem. Obawiał się nieudanem kłamstwem pogorszyć sprawę, więc spuścił głowę, jak to winowajcom przystoi i przyznał się:

— Jam pisał.

Kanonik z irytacyą podsunął mu pismo pod nos i zawołał:

— A gdzież tu jest czwarty rym, ośle jeden? W sonecie ósmy wiersz powinien rymować z pierwszym, czwartym i piątym. Zaraz mi to popraw, barania głowo!

Cornus przez całe dwa dni szukał czwartego rymu po ogrodzie katedralnym, aż go znalazł wreszcie przed samym zachodem słońca, niedaleko starego rzeźbionego głazu, który był nagrobkiem jakiegoś rzymskiego patrycyusza. Poprawiony sonet kanonik odczytał znowu i mruknął:

— No, Marcin sukiennik nic ci teraz nie będzie mógł zarzucić...

A nazajutrz mianował Cornusa trzecim swoim sekretarzem. Nie upłynęło i trzech lat a Cornus został pierwszym sekretarzem kanonika i jego poufałym. Śmierć nagła kanonika położyła kres dalszej karyerze Cornusa, na pociechę jednak wypłacono mu sto obrączkowych dukatów, zostawionych mu w testamencie przez wychowawcę i dobrodzieja.

Trafiła się zaraz Cornusowi służba u miejscowego czarnoksiężnika, na której przebył dwa lata, przepisując z unikatów formuły magiczne i silnie bogacąc swoją wiedzę. Z pożytkiem mu to było. Na służbie u kanonika utracił był wiarę w Boga i czuł się źle na świecie bez dogmatu. Studya nad czarną magią przywróciły mu przynajmniej wiarę w dyabła.

Dociuławszy sobie jeszcze dwadzieścia dukatów, postanowił Cornus na wielkim świecie szczęścia spróbować, a więc albo na cesarskim, albo na

papieskim dworze. Niezdecydowany ruszył w podróż z najpiękniejszemi nadziejami i tak dotarł do miasta, w którem już się drogi rozchodziły: na lewo do Wiednia, na prawo do Rzymu. Trzeba było kości raz rzucić. Zanim to uczynić zdążył, młody wędrowiec został trafiony niespodziewanie przez szlag miłosny. Ujrzał przypadkiem słynną z piękności na wiele mil wokoło burmistrzankę, Amelię, chlubę nietylko ojca, ale i całego miasta i odrazu poczuł młody poeta, że droga jego jest skończona i że każdy krok, po za mury miasta w którąkolwiek stronę zwrócony, będzie go tylko od szczęścia oddalał.

Niemieszkając długo, zatemperował Cornus nowe pióro gęsie i ułożył nowy sonet o bogactwie rymów zgoła jeszcze w poetyckiej sztuce niepraktykowanej, ostatnie bowiem strofy rymowały również temi samemi dwoma rymami, co pierwsze.

Dokonawszy tej nadzwyczajnej sztuki bardzo był z siebie zadowolony i coprędzej zanieść kazał wynajętemu pachołkowi sonet ów do rąk własnych pięknej burmistrzanki.

Wieczorem dnia tego zjawili się w oberży, gdzie Cornus miał locum swoje, dwaj rośli ludzie i jeden z nich zapytał:

— Czy waść wabisz się Cornusem?

— Ja, nie kto inny.

I to waść posłałeś pismo miłosne wielmożnej burmistrzance?

— Ciekaw byłbym kto inny potrafiłby takie pismo ułożyć.

Na to obaj rośli mężczyźni poczęli okładać

Cornusa kijami po całem ciele, oszczędzając jeno samej twarzy i zabawiali się w ten sposób co najmniej przez czas pięciu pacierzy.

Przygoda ta wzbudziła dużo wesołości w oberży i nawet przysporzyła gości oberżyście, ciekawych widzieć obitego poetę i słyszeć opowieść, jak to wszystko było.

Szczęściem dla Cornusa oberżystka była osobą litościwego serca i przez cały tydzień nie szczędziła nieszczęsnemu ani świeżych kataplazm ani słów pociechy.

Gdy przyszedł nieco do siebie, rzekł wzdychając:

— Żebym ja choć to jedno mógł wiedzieć, azali cudna burmistrzanka czytała mój sonet?...

Na co oberżystka odpowiedziała:

— Bardzo to jest rzecz wątpliwa, a to z tego powodu, że burmistrzanka wcale czytać nie umie. Od maleństwa było to tak prześliczne paniątko, że ojcu ani na chwilę nie powstało w głowie uczyć jè czytać.

Cornus kiwnął na to głową (mógł już kiwać głową) i sięgnąwszy ręką po nowe gęsie pióro (mógł już sięgać ręką) począł zaraz układać nowy sonet.

Temat tego nowego sonetu był taki:

„Dobrze uczynili rodzice, że piękne twoje oczy nie przymuszali do pełzania po brzydkich i drobnych zygzakach alfabetu. Na co ci sztuka czytania? Ty, co jesteś piękniejszą od najpiękniejszego sonetu, co jesteś sonetem Boga samego, przez innych odczytywana być winnaś. Ale tego nie zdo-

ła lada pacholek, którego męczył zakrystyan abecadlnikiem. Na to trzeba być poetą".

I z tego sonetu był Cornus także zadowolony, ale go burmistrzance nie posłał

Upłynęło kilka miesięcy Cornusowi śród najsroższych mąk i uciśnienia ducha. Cudną Amelię widywał co niedziela w kościele i za każdym razem coraz to większy pożar ogarniał jego osobę. Nieszczęsna miłość stała się dlań zmorą, chorobą, obłędem, furyą. Jedni ludzie go wyśmiewali, inni się na niego oburzali; inni jeszcze pocieszali go, pomagając mu jednocześnie wydawać pieniądze. Pewien hultaj wpadł na koncept udawania przed nim dawnego giermka burmistrzanki i Cornus przez dwa tygodnie gasił smoczy jego apetyt i pragnienie, wciągając w siebie smrodliwą woń, jaka szła od draba i łudząc się, że chwyta coś z powietrza, jakie otaczało cudną burmistrzankę. Oto co los może nieraz zrobić z ludzi, dając im za wiele wyobraźni.

Postanowił w końcu Cornus się powiesić. I, postanowiwszy to spostrzegł, że znajduje się nareszcie na dobrej drodze. „W ten czy inny sposób, począł rozumować, dusza moja należeć będzie do dyabła. Czemu mam się poddawać mu na łaskę i niełaskę? Lepiej się z nim ułożyć i coś za duszę swoją otrzymać".

Tegoż wieczora zamknąwszy się w izbie wykreślił przy progu podwójny pentagram i wymówił średnią formułę inkubacyjną według najlepszego

wzoru, z czasów służby u czarnoksiężnika zachowanego.

Formuła była zgoła pewna. Zadrżała zaraz cała stancya, błysnął jakiś dziwny ogień i z pod ziemi wyrósł tajemniczy aptekarz, który poufale się uśmiechnął i zapytał, czy łaskawy rozkazodawca nie potrzebuje czego z łacińskiej oficyny?

Cornus był bardzo zrozpaczony i z tego powodu odważny i zdecydowany. Strząsnąwszy więc z siebie szybko pierwszy lęk naprzód, pierwszą ciekawość potem, śmiele spojrzał w uśmiechniętą twarz rzekomego aptekarza i powiedział krótko:—No, róbmy interes.

Rzekomy aptekarz odrzekł na to uprzejmie: — Ja jestem zawsze gotów do usług i znany z tego.

— Więc słuchaj waść: kocham burmistrzankę bez pamięci, bez rozumu, do zatracenia, kocham ją, gorzeję, na popiół się spalam, ginę...

Tu wtrącił rzekomy aptekarz:—Jest to, zaiste, najcudniejsza kobieta, jaką wydały wieki i rozkosz całej ziemi w niej się mieści w esencyi.

— Przed niczem się nie cofnę, aby była moją.

Rzekomy aptekarz głową pokręcił: — To jest strasznie trudna rzecz.

Żeby była łatwa, tobym waści nie odrywał od wywczasów. Ale wiem, nieszczęsny, że to dla mnie. bez waścinej pomocy niepodobna. Bez kondycyi jestem, bo z jednego stanu wyrosłem a do drugiego się nie wkupiłem; pachołekem chudy i nawet na podwórze burmistrza przystępu nie mam, kędy każdemu psu wolno wleźć. Więc piszmy cyrograf.

Rzekomy aptekarz natychmiast wyjął z ręka-

wa czyściutko wyprawną skórkę i rzekł:—Podpisz a burmistrzanka jutro będzie twoja.

Cornus zaraz sobie serdeczny palec nadciął i gęsie pióro we krwi cieknącej umoczył. Ale z podpisem się osiągnął.

— Jutro, powiadasz waść, jutro. Więc mi ją oczarujesz i jak nie swoją rzucisz na łoże miłosne. A ona mnie przyjmie jako niewolna i jako bezmyślna. Nie. Zbyt drogo za nią płacę, abym ją brać miał niby kubek małmazyi. Ty mi ją daj całą: ciało i skłonność. Spuść na mnie tyle potęgi świa-: ta, tyle blasku i sławy, żeby ona rzekła do siebie tegoć pragnę a nie żadnego innego.

Rzekomy aptekarz błysnął ostro czarnemi ślepiami:—Waść byś pragnął, abym za mizerną zapłatę, którą mi ofiarujesz uczynił cię może cesarzem rzymskim?

Cornus odpowiedział:—A czy burmistrzanka nie jest godna być cesarzową?

— Jużci.

— Więc ty mi ją godnie daj, bo ja nie jestem parobek, jeno poeta.

To powiedziawszy, urwał kawałek onuczki i począł sobie chytrze obwiązywać zraniony serdeczny palec. Co tak przestraszyło rzekomego aptekarza, że podrapawszy się w głowę rzekł z rezygnacyą:—Ciężką ja widzę służbę będę miał u waści Ale niech już będzie moja krzywda.

I poczęli spisywać cyrograf.

Mało wiele czasu upłynęło od tej chwili, a jednak niktby nie poznał we wspaniałym rycerzu,

w stal zakutym od czuba do pięty i ciągnącym ku miastu na czele cesarskiego wojska, onego samego Cornusa, syna organisty, bezdomnego pachołka i bazgracza wierszydeł. Został on już przez jednego elektora uszlachcony, przez innego polecony cesarzowi i jako świetny wojownik, tudzież roztropny doradca, wysłany do uśmierzenia buntu mieszczańskiego, podniesionego przez ligę miast, odmawiających składania corocznego podatku specyalnego, zwanego „sprzączkowem"; podatek ten obracany był na sporządzenie złotych sprzączek przy pończochach cesarzowej; zbuntowani mieszczanie podnieśli rebelię pod błahym pozorem, że trzy tysiące dukatów od każdego z osiemdziesięciu miast na ten cel jest zbyt wiele, zapominając, że marny burger przez nieuzasadnione zuchwalstwo jedynie może rościć sobie pretensyę do rzeczoznawstwa w sprawach toalety cesarzowej.

Cornus zwyciężał jedno miasto po drugiem, niektóre siłą biorąc, inne na łaskę i niełaskę własną przyjmując; burmistrzów do wieży sadzał, na mieszczan kontrybucye nakładał, nowych urzędników mianował. I śród szczęku zbroi, śród sądowniczych czynności, śród układów i rozkazów stawała mu przed oczami duszy zapłoniona i drżąca burmistrzanka, a on wtedy szeptał jej myślą: „Pamiętasz ty onego zuchwalca, co ci rok temu przysłał sonet, dwoma rymami od góry do dołu się rymujący? To ja jestem. Dla ciebie zostałem rycerzem, i baronem, i zdobywcą. Zamki i herby, i bogactwa posiadłem, żeby się przed tobą w nie przyodziać. Widzisz jaką mam moc, elektorom samym równą. Widzisz

nad ilu miastami króluję. I ja chcę aby nademną królował najmniejszy paluszek twojej białej ręki"

Tak zwyciężył miast Cornus już siedemdziesiąt dziewięć i zostawił sobie na koniec ono drogie miasto, względem którego postanowił być nad miarę łaskawym i wspaniałomyślnym, aby serce cudnej burmistrzanki, już uderzone grozą jego imienia i strachem przed jego karzącą prawicą, pogłaskać jeszcze pieszczotliwie wyrozumieniem jego na wyjątkowe wdzięki niewieście i względnością dla nieszczęścia i niedoli, orędowanych przez usta, tak ślicznie wykrojone.

Puścił się wreszcie w drogę ku onemu miastu, w którem mu się była dusza na wywrót wykręciła myślał: „Oto i do celu zdążam".

I, rzecz dziwna, jechał—nie spiesząc wcale.

Dojechawszy do murów miasta, Cornus zatrąbić rozkazał. Zaraz wyszli z miasta deputaci, bardzo ukorzeni i na tacy złotej podali Cornusowi klucze. „Dać mi zakładników" zażądał Cornus. Przyprowadzili zaraz burmistrza i ławników wszystkich.

Cornus rzekł do burmistrza: „Jutro o samem południu wjazd uczynię do miasta. Postaraj się, aby był on godnym wielkości cesarza, którego jestem przedstawicielem i głębokości waszej skruchy. A wieczorem przyjdę do ratusza na bal, na którym chcę widzieć wszystkie znaczne damy i dziewice. Pilnuj, aby ani jednej nie brakowało. Co gdy zostanie spełnione, możecie liczyć na wielką moją łaskawość".

Potem dodał: „Słyszałem, że masz piękną córkę, burmistrzu. Piękność wielka to cnota u mło-

dej niewiasty, a nawet z pewnością największa z cnót wszystkich. Daj jej ten pierścień odemnie jako zaproszenie do tańca. I bądźcie wszyscy dobrej myśli.

Nazajutrz odbył się wjazd uroczysty, jakiego jeszcze starożytne miasto od urodzenia nie widziało, a wieczorem wyprawiono ucztę, również nigdy w kronikach nie notowaną. W sali ratuszowej patrycyat burgerski balował z baronem Cornusem i jego przybocznymi, a na rynku, w świetle zapalonych beczek smolnych, żołnierze cesarscy bratali się z tłumem mieszczańskim, tańcząc, pijąc i śpiewając do rannej zorzy.

Następnego dnia bal na rynku się powtórzył i trzeciego dnia miasto również świętowało. Do wieży nikt wtrącony nie został, od nikogo nie ściągnięto ani tynfa kontrybucyi, a cesarscy żołnierze za wszystko płacili wedle taksy, monetą walor posiadającą.

Pewnej nocy Cornus, rozlokowany w najpiękniejszej sali ratusza, długo mierzył ją szerokiemi krokami, chmurny i zadumany, aż wreszcie wykreślił u progu podwójny pentagram i rzucił nad nim średnią formułę magiczną.

Zatrzęsły się ściany, błysnęło krwawe światło w powietrzu i stanął przed Cornusem dyabeł, tym razem we własnej już postaci, w gibkiem, wężowatem ciele szatańskiem, z uśmiechem sardonicznym na suchej, ostrej twarzy.

— Chcesz mi podziękować niezawodnie— po-

wiedział—spełniłem bowiem lojalnie moje zobowiązania. Dałem ci, coś chciał: sławę, potęgę, blask. Burmistrzanka patrzy w ciebie jak w słońce, a gdy jej przez myśl przejdzie samo imię twoje, na białych jej policzkach wykwitają rumieńce, jak te róże szkarłatne, które pną się około marmurowych kolumn arcybiskupiego pałacu.

Cornus na to odpowiedział:

— Złodzieju dusz ludzkich! Oszuście piekielny! Fałszerzu cyrografów! Oto doprowadziłeś mnie do celu w chwili, gdy serce moje wypróżniło się, jak wywrócony do góry dzbanek. Miłości już w niem niema. Gdzie się ona podziała, sam nie wiem. Umarła, jak kwiat umiera krótkotrwały. Burmistrzównie nic nie ujmuję. Poprawniejszych linii, miększych ruchów, jedwabniejszego ciała, dźwięczniejszego głosu nie ma żadna z niewiast żyjących. Jest to nawet stworzenie nie bardzo złe, choć wysokiem o sobie mniemaniem dość popsute. Ale niech będzie sobie jakie chce. Nie kocham jej już, nie pragnę, nie pożądam.

Dyabeł odpowiedział:

— To jest twoja a nie moja sprawa.

— I twoja, hyclu, i twoja! — wrzasnął z gniewem Cornus. — Cyrograf za nic, skoro dajesz mi rzecz, nie mającą dla mnie wartości.

— Daję ci rzecz, której pragnąłeś i którą wymieniłeś w kontrakcie. To ty jesteś oszustem.

— Ja gotówem dotrzymać ugody. Napełnij choć serce moje tym ogniem słodkim, który mnie pożerał niedawno jeszcze, a apelacyi i zakładać nie będę.

— Mówisz jak ten, który głupiego udaje, aby się od zapłaty uwolnić. Wiesz dobrze, iż to nie jest mój fach: tworzyć. Ja mogę tylko stworzonemi rzeczami pokierować według ich woli, przeszkody im usuwając z drogi i ułatwienia im czyniąc. A już na to, aby żądać od dyabła napełnienia miłością czyjegoś serca, trzeba być ostatnią świnią!...

— Dobrze, nie właźmy in merito. Ale nie przekonasz mnie nigdy, szubrawcze jeden, że ty masz prawo formalne do mojej duszy, skoro ja nie przyjmuję od ciebie twojego towaru.

— W cyrografie stoi jak wół, że...

(W tem miejscu urywa się rękopis. Brakuje w nim co najmniej jednego foliału. Ale niepodobna go było odszukać, za co przepraszamy czytelników.

LUTEK MA DZIEŃ SZCZĘŚLIWY.

Tego dnia Lutkowi dobrze się zaczęło od samego rana. Od samiusieńkiego. Przespał się u ciotki. Ani się tego był spodziewał. Zaszedł tam zupełnie tak sobie, o niczem nie myślący. Po drodze mu było. Kiedy mijał bramę, tyle mu znajomą, nogi skręciły na prawo, z ulicy przez furtkę. No i już. Wszedł potem do stancyi, bo niczego się nie bał i było mu wszystko jedno.

Wiedział, że go ciotka wypędzi.

Wiedział też, że ciśnie on na to ciotce słowo, od którego jej wątroba się troszeczkę poruszy. No i już.

Wszedł.

A tu ciotka do niego słodziutkim głosem:

— A co, Lutuś, przenocować przyszedłeś?

Odrazu zmiarkował, że i kolacyę ma ci gotową, jakby znalazł dziesiątkę pomiędzy kamieniami ulicy.

Powiedział też odrazu:

— Głodnym, ciociu, jak ten pies.

Ciotka pokiwała głową.

— Siadajże—powiada.

Lutek rozgląda się po izbie.

— Uhu—powiada—tu ci mróz.

Mrozu nie ma. Rura blaszana mocno grzeje akurat. Ale z każdego kąta, aż piszczy bieda.

Ciotka żałośliwie mówi mu:

— Zniszczeliśmy do cna. Bez te strajki. Zastawiało się i zastawiało, a kiedy już, zdawało się, koniec biedy wyjrzał, wzięli mi starego na Pawiak.

Westchnęła.

— To najgorsza.

Lutek nie bardzo prędkie ma serce do żalu. Jemu jeszcze gorzej niż na Pawiaku. Ale, że on nic sobie z tego nie robi.

Lecz smutną minę uczynił.

— Jużci—przytakuje.

A myśli sobie:

— Dostanę co włożyć do gęby, czy nie...

Bo mu po tem opowiadaniu ciotki kolacya stała się mniej pewna.

Ale przyszła oto Andzia.

— Z roboty?—pyta ją.

— Jużci. A ty co?

— A nic.

— Co robisz?

— Gazety sprzedaję.

— Dobrze ci to?

— Pi! jakbyś wiedziała! tylko mi się strasznie jeść chce.

I tak oto i kolacyę dostał, — razem ją zjedli. I przy stole—niby wielki pan. I gorącą, jak sam hrabia. Kartofle okraszone kwaterką mleka.

I przespał się, mając poduszkę pod głową.

Nazajutrz rano myśli sobie: wypędziła, bo wypędziła, to prawda, ale tak zla nie jest. Trzeba tu zaglądać częściej. Mam ci gospodę.

W rękę całuje i ciotkę i Andzię.

Myśli przytem, że może i śniadanie dostanie.

Ciotce coś się w nocy w palec zrobiło. Skarży się, że spuchło.

Lutek mądrego udaje.

— Pokaż ciotka.

Ogląda palec niby doktór.

— U! wsadź ciotka w gorącą wodę i już...

Andzia się śmieje.

— Takiś mądrala...

Dali mu jeszcze kawałek chleba.

— No, czas do roboty—mówi—wale...

Ma z wczorajszego dwie gazety. Sprzedaćby może sprzedał wczoraj, gdyby bardzo się starał. Ale mu się starać bardzo nie chciało. Wyrzucić je trzeba i cztery grosze licho wzięło. Ale Lutek ma całą złotówkę w kieszeni. Więc o czworaka już nie dba. Taki jest.

— Do zobaczenia—mówi.

Ale od progu wraca.

— Chce ciotka to gazet dam. Niech ciotka sobie poczyta. Okrutne ciekawości w nich stoją.

— Toć że byś je sprzedał -mówi ciotka.

Ale widać, żeby gazety chętnie wzięła. O ciekawości jej nie idzie. Ma dość ciekawości we własnej stancyi. Ale na świeże półki by się przydały, tak teraz bo smutno, od czasu jak się wyprzedali...

— Macie—woła Lutek.

I rzuca papiery ciotce na kolana.

Cwaniak jeden...

Tak mu się dzień zaczął.

Wyszedł na ulicę.

— I ciepło dziś nawet—powiada sobie.

Jakby znowu mu się poszczęściło. W instynktownem poczuciu sprawiedliwości wydaje mu się, że w dniu, w którym od niepamiętnych czasów przespał się na poduszce i od rana zjadł coś, mogłoby być już sobie i zimno.

Leci wprost do drukarni.

Spóźnił się trochę.

Na podwórzu już chłopaki walą ze świeżemi numerami i śmieją się z Lutka.

Jeden nawet rzuca mu:

— Frajer!

Lutek mierzy go wzrokiem pogardliwym. I myśli sobie:

— Draniu jeden, a spałeś ty dziś na poduszce!...

Polecieli. Nie obejrzeli się. Ale na ulicy nie krzyczą z całych sił jak dawniej. Stan wojenny. Sprzedawać pism nie wolno. Ale sprzedają. Bo co— a zdychać ma być wolno?!

Lutek nieśpieszący się kupuje numery. Nieśpieszący się chowa je pod kamizelkę. Nieśpieszący się na ulicę wyłazi.

Nie dżga go dziś jakoś w sobie, jak zwykle. Już jadł.

I jakoś z góry na innych chłopaków patrzy.

To mu nie przeszkadza pracować.

Lutek sprytny jest. Umie sprzedawać. Zna ci ulicę, jak jaki majster. Spojrzy na przechodzącą

osobę i już wie, czy przechodząca osoba może kupić kuryera, czy nie. Tak, po ubraniu, po twarzy poznaje; zresztą sam nie wie po czem, ale poznaje. I dobrze mu z tem.

Inne chłopaki mu zazdroszczą.

Powiadają:

— On sprzedaje na upatrzonego.

Starają się sami upatrzyć. Ale puszczą kogoś, a Lutek do niego przystaje, jak raz, i sprzedał mu kuryerka.

Wtedy patrzy na chłopaków przymrużonemi oczami i mówi:

— Trza mieć nos, frajery...

Sprzedaje też po swojemu. Przysuwa się do przechodzącej osoby i idzie z nią kilkanaście kroków.

— Mam świeżego kuryera — mówi jakby nieznacznie—czy dać?

A ręce trzyma w kieszeni.

I nie naprzykrza się. Wie, że to się na nic nie przyda. Nie żebrze. To także na nic. Idzie tylko sobie tyle czasu, ile potrzeba, aby przechodząca osoba się namyśliła. Potem odstępuje.

W ten sposób umie sprzedać kuryera pod samym nosem burego.

Cwaniak jest Lutek. Należy on do tych istot, które mogą raz jeden wpaść tylko. Co prawda ten raz jeden wpadł zdrowo. Potłukli go kolbami, tak, że przez dwa tygodnie chodził niby pokraka. Chłopaki, spotkawszy go, przez pół połamanego patrzyli nań pytająco, ale że minę miał zawsze jurną, więc się z niego naśmiewali.

— Co ci to?!—wołali mu.

Myślał też przez te dwa tygodnie, że już zdechnie z głodu i zimna. Ale wytrzymał i to. I jeszcze nauczył się rozumu.

— O, i dziś. Niema dziesiątej, a Lutek ranne gazety sprzedał. Zarobił prawie dwudziestaka.

I wolny jest, aż do pokazania się gazet wieczornych.

Więc naprzód obiad: pół funta chleba i ćwierć funta wędzonki.

Potem—inna praca. W guziki.

Lutek ma partyę stałą. Od miesiąca już to samo kółko chłopaków zbiera się w bocznej uliczce, gdzie ruchu nie wiele i—jazda.

Nazywa się to w guziki. Ale gra miedziakami. I o miedziaki.

Żeby to Lutkowi tak szło w te guziki, jak mu nie idzie, co byłby za bogacz. A tak, to sobie nawet nowej czapki kupić nie może, choć od jak dawna to ułożył sobie w głowie. Ma najgorszą czapkę wśród wszystkich chłopaków.

Dziś—dziś jakoś dzień szczęśliwy dla Lutka.

Wygrał. Nie wiele. Czworaka. Ale jak na takiego co zawsze przegrywa i to nie źle. A potem, to początek. A każdy początek jest trudny.

Kupuje sobie za całego czworaka cukierków w sklepiku.

Woli to jak papierosy.

Ulica zostawiła w chłopaku jeszcze jakieś źdźbło dziecka, jak pożar niszczący pozostawia czasem kawałek muru, nie rozsypawszy go na gruzy.

Toby mu nawet bardzo przeszkadzało wśród chłopaków, w których dziecka ani kawałka nie było już od dziesiątego, dwunastego roku życia. Ale był cwaniak. Nie dawał się.

Zjadł cukierki.

Teraz to najgorsza pora. Nie wiadomo co robić. Dawniej chodził na podwórze drukarni. Znowu trochę wguziki się pobawił. Potem patrzył jak maszyna kuryerka wyrzuca. Fyrt-fyrt-fyrt. Okiem nie zdążysz, brachu, mrugnąć, a już kuryerek gotów. I leży sfalcowany na dwoje. A maszyna nawet ci policzyła sama. Mechanik jeno zerkuje na tabliczkę, w której numery ciągle skaczą i już wie, ile tysięcy numerów wypuściła maszyna. Co do jednego. Taka ci jucha mądra.

Pytał raz czy Niemcy taką maszynę zrobiły.

A chłopak, który samemu mechanikowi przynosi zawsze serdelki od rzeźnika, powiedział mu, że i Niemcy na taką mądrą maszynę są za głupie; Anglików samych na to aż trzeba.

Dziś jednak Lutek iść do maszyny nie może. Nie wpuszczają chłopaków. Boją się. Stan wojenny.

Wałęsa się więc do piątej tu i tam.

Wreszcie idzie po kuryerka.

Chłopaki, które czekają na świeże numery, śmieją się do niego z uciechą.

— Wisz... Nowa bomba...

— Eh?!

— Jak Boga kochm...

Oczy im się świecą. Kurjerek będzie dziś szedł znowu. Jak woda.

Lutek kalkuleje:

— Żeby to jaknajwięcej kupić...

A i tu trzeba się brać na kawały.

Kuryerek kupują ludzie istotnie. Ba, wyrywają sobie. Nastarczyć ledwie można.

— To ci dzień!

Oblicza Lutek swoją kasę pod wieczór. Ma dwa złote groszy dziesięć. Złotówkę miał, czworaka wygrał, reszta to zarobek.

Chuchnął w garść miedziaków radośnie i do rzeźnika wali.

— Dwa serdeljanse po trojaku i pół ćwierci kiszki!

Dziś sobie nie ma co żałować.

Potem, dogryzając chleba, idzie pod okopy, na nocleg. Pod jednym parkanem, przy składzie węgla, jest ci hotel jak się patrzy.

Oho, Józiek i Maciek już są.

— Jezdeś?—pytają Lutka.

— Jezdem—odpowiada.

Skrzywieni są i do parkanu przyciśnięci.

— Cóż wy takie fryberskie miny macie? — pyta Lutek.

Opowiadają mu przygody dnia. Bury złapał ich, odebrał kuryery i podarł. Józiek mu się na sucho wyśliznął. Ale Maciek oberwał po uchu. A obaj wpakowali w kuryery, co mieli. Po parę groszy im nawet nie zostało.

Ale oto ktoś idzie ku nim.

— Walek nie Walek?!

Walek jeno ma ci takie nowe palito, jakby prosto ze sklepu.

— Jaśnie pan kupi, bardzo ciekawy — proponuje mu kuryerka ze śmiechem Lutek.

Walek naprawdę do niepoznania się zmienił. I buty ma nowe. I chustkę niebieską na szyi. I jeszcze umyty cały.

— Ho! ho! wielki pan—mówi Lutek.

Walek ręczy, że to na pewniaka.

Walek do nich:

— No, chłopcy, mam dla was robotę.

Zaczyna im coś perswadować.

— Co? na grandę?—woła Lutek.

Lutek nie ma ochoty złodziejskiego rzemiosła rozpocząć. I potrzeby nie ma. Pełno miedziaków w kieszeni. Czego chcieć więcej.

Józiek i Maciek wstali. Przysłuchują się Walkowi. Oni nie mają ani grosza. Bury im odebrał kuryery i podarł.

A Walek marszczy się, przekonywa, uderza pięścią w deskę piersiową, aż dzwoni:

— Na pewniaka, jak rany boskie kocham.

W POKOJU DZIECINNYM.

Kilka łóżeczek, dosuniętych do ścian. W środku stół duży, podłużny, zarzucony kajetami i książkami, pełen czarnych plam od atramentu. Nad nim zwiesza się lampa z zielonem szkłem.

Na łóżeczkach śpią dzieci, pootulane kołdrami aż po szyjki; rysują się tylko na poduszkach ich główki z rozczochranemi włosami.

Najstarszy chłopiec obudził się już, wyciągnął z pod poduszki książkę i zaczyna ze skupieniem wielkiem czytać.

Po jakimś czasie zegar wydzwania ósmą godzinę.

Do pokoju dzieci wchodzi matka, ubrana w ranny szlafroczek.

— Ty już nie śpisz, Kaziu?

Kazio odrywa się od książki.

— Dzień dobry mamuńci. Czy mamuńcia pamięta, jak to Robinzonowi wysypały się wtedy ziarna na ziemię, ja mamuńci to przecież mówiłem. Wie mamuńcia, co się z temi ziarnami stało? Teraz wyrosły w zborze. Niechno mamuńcia zobaczy, jak

to Robinzon modli się, gdy spostrzegł to zboże. O! mamuńciu.

Matka spogląda w książkę, uśmiecha się i głaszcze Kazia po głowie.

— Czas już wstać — mówi.

— Zara, zara, mamuńciu, tylko do rozdziału doczytam.

Matka tymczasem budzi Janka, Manię i Władzię. Każde z dzieci przeciera oczki i całuje mamę w rękę na dzień dobry.

Budzi się także i mały Polo.

Mama otula go kołderką i zachęca do snu.

— Na ciebie nie czas, Polu, śpij jeszcze trochę.

Ale mały Polo spać nie chce. Usiadł sobie na łóżeczku, odgarnął od siebie kołderkę, nóżki ujął rączkami i rozgląda się po pokoju.

Tymczasem Mania i Władzia myją się i ubierają.

Leniuszek Janek położył się na nowo spać, jak tylko mama odeszła. Kazio studyuje ciągle Robinzona.

Władzia zaczyna się drażnić z chłopcami:

— Ja powiem mamie, że wy nie wstajecie.

— Nie mów, nie mów, moja droga — woła Kazio.

— Ja powiem.

— Nie mów dam ci coś.

— Co?

— Powiem później.

— E! ty nic nie dasz.

Kazio zaczytany nie odpowiada.

— Maa...—zaczyna skarżyć Władzia.

Nie wykonywa przecież groźby. Nie na wiele się to przydaje, gdyż mama znowu wchodzi do pokoju.

— Co? jeszczeście nie wstali—woła już trochę gniewna—wstawaj zaraz, Kaziu! Janku!

— Tylko do kropki—prosi Kazio—moja złota mamuńciu, do kropki.

— Jeszcze chwilkę — mówi Janek — moja mamuniu.

Ale matka nie ustępuje już nic. Chłopcy muszą wstać, służąca podaje im wodę.

Kazio, skoro wstał, zabiera się natychmiast do mycia i z pośpiechem wielkim ubiera się.

Tymczasem dziewczynki, ubrane już, zmówiły pacierz ranny i siedzą nad stołem, z główkami opartemi na piąstkach, przepowiadając sobie głośno lekcyę.

Janek zaczyna się także ubierać.

Władzia spogląda na niego.

— Tyś się nie mył?!

— Co ci do tego?—odpowiada.

- Ja powiem mamie, że ty się nie myłeś! Maa... — mówi cichym głosem, aby go nastraszyć.

Ale starsza siostrzyczka, Mania, na seryo bierze się do Janka.

— Mamo!—woła -Janek się nie chce myć.

Wchodzi znowu mama i zaczynają się targi z Jankiem o mycie. Janek zgadza się umyć ręce i twarz, ale mama żąda, aby umył i szyję.

- Kiedy ja mam czystą szyję—woła.

Nic to nie pomaga; musi zdjąć koszulkę i umyć się w wodzie takiej zimnej, że aż strach...

Tymczasem Kazio wydobył łuk, napiął go i skierował strzałę na obnażone plecy myjącego się Janka.

— Noo!—woła przez nos Janek—maamo!

— Co tam? — odzywa się z sąsiedniego pokoju mama.

— Maamo! — woła ciągle Janek.

Wchodzi matka.

— Co ci się stało?—pyta.

— On chce do mnie wystrzelić.

Kazio uspokaja mamę.

— To nic, mamuńciu, to wyjec! wyjec! Wyszedł z nory i ja go muszę zabić na śniadanie.

— Połóż ten łuk.

Kazio nie spełnia rozkazu.

— Mówię ci, połóż ten łuk — mówi znowu matka—bo powiem ojcu.

Kazio składa łuk, mrucząc:

— A ja i tak, i tak pojadę do Ameryki.

Podają śniadanie.

Dzieci obsiadają stół.

— Czy już ci się wpisała Rutkowska do albumu?—pyta Mania siostry.

— O, wpisała się już od tygodnia.

— Pokaż, co napisała.

Władzia podaje Mani swój albumik, pełen kartek, oklejonych pięknemi kolorowemi pieczątkami.

Mania przewraca kartki i zatrzymuje się na ostatniej:

Zgineli Grecy,
Zgineli Rzymianie,
Lecz nasza przyjaźń
Na wieki zostanie.

Twoja przyjaciółka
do grobowej deski,
Anna Rutkowska.

Kartka ta nie miała ani jednej pieczątki.

— Nie wlepiła się jeszcze?—pyta Mania.

— A nie—odpowiada Władzia.—Ona taka jest, że ci się wpisze, a potem to nie chce i nie chce się wlepić. Ale ja jej powiedziałam, że jak dziś albo najdalej jutro pieczątek nie przyniesie, to wydrę jej kartkę z albumu.

— A ty jej wlepiłaś się?

— A jakże. Kupiłem dla niej pieczątek za siedem groszy.

Kazio nie przestaje pochłaniać Robinzona, jedząc śniadanie. Nie uważa na nic, co się wkoło niego dzieje i mówi.

Skończono wreszcie śniadanie; zaczytany chłopiec zamknął książkę i włożył ją w tornister.

— Ty bierzesz Robinzona do gimnazyum?—pyta go spostrzegawcza Władzia.

— Bo co?

— Ja powiem mamie.

Kazio pokazał jej kułaka.

— O! myślisz, że ja się ciebie boję — rzekła Władzia.—Otóż, żebyś nie groził, tobym nie powiedziała, a tak to powiem. Mamo!

— Cóż tam jeszcze?—słychać głos mamy.

— A to Kazio bierze Robinzona do tornistra.

— Kaziu! żebyś mi zostawił Robinzona.

— Dobrze, mamo.

— On bierze! — skarży w dalszym ciągu Władzia.

— Zostaw Robinzona — słyszysz?!

— Słyszę.

— Przynieś mi tu Robinzona zaraz.

Kazio wyjmuje Robinzona z tornistra, odnosi go mamie i potem, wracając, pokazuje kułaka oskarżycielce.

— Poczekaj—mówi—ja ci tego nie daruję.

— Mamo!—woła Władzia—Kaziek mi grozi.

— Kaziu! bądź spokojny.

— Ja jestem spokojny, to ta Władura dokazuje.

Władzia pokazuje mu język.

— Władura!—woła Kazio z pogardą.

— Kaziura—odpowiada mu Władzia.

— Władura!

— Kaziura!

Mania usiłuje załagodzić brata.

— Daj jej pokój, Kaziu, ty jesteś starszy.

Kazio podaje rękę Mani:

— Do widzenia, Mańka, ty jesteś dobra dziewczynka. Jak wyjadę do Ameryki, to ci przyślę skórę z jakiego zwierza na futro. A tobie—zwraca się do Władzi—to przed odjazdem takiego kopsa sprawię, że długo mnie popamiętasz.

— Kaziura!

— Władura!

Janek zarzuca tornister na plecy.

— No! idziesz?—zapytuje go Kazio.

— Zaraz, zaraz.

Stają obaj przed matką.

— Już idziecie?—pyta mama.

— Już.

Matka wyjmuje portmonetkę, aby dać chłopcom po sześć groszy na drugie śniadanie.

— Dam wam dziesiątkę i dwójkę, to się podzielicie.

— Ja nie chcę, mamo — woła krzywiąc się, Janek — Kaziek mi nie odda. On mi już raz tak nie oddał.

— Oddam mu, mamuńciu, oddam.

— Nie odda mi, niech mama da nam oddzielnie.

Matka musi służącą posyłać na dół, ażeby zmieniła dziesiątkę.

Chłopcy wychodzą wreszcie, pocałowawszy matkę w rękę, każdy ze swoją szóstką.

— Już idziemy—mamo—mówią dziewczynki.

— Dam wam dwanaście groszy, to się podzielicie.

— Dobrze, mamo.

Całują mamę w rękę, w przejściu przez swój pokój dają buzi małemu Polowi i po chwili matka oddycha, myśląc sobie:

— No, nareszcie będzie spokój do trzeciej godziny.

*
* *

Późny wieczór.

W pokoju dziecinnym cisza.

Mała lampka nocna rzuca na stół trochę światełka. Dzieci śpią.

Wchodzi matka, aby przed położeniem się spać raz jeszcze troskliwem okiem obejrzeć dzieci. Podchodzi kolejno do każdego łóżeczka, robi nad spoczywającym pod kołderką znak krzyża świętego i składa cichy pocałunek na czole śpiącego dziecka.

Z chwilą wszakże, gdy nachyla się nad łóżkiem Kazia, spostrzega, iż pod kołderką niema nikogo.

Ogląda się zadziwiona po pokoju i—spostrzega zwieszone z nad szafki nogi jakieś. Przybliża się do szafki: Kazio śpi z opuszczoną na piersi głową, siedząc na szafie.

— Kaziu! Kaziu!—woła mama, szarpiąc go za zwieszoną nogę.

— Co, mamuńciu? — mruczy chłopiec, nieotwierając oczu.

— Chłopcze! zejdziesz ty ztamtąd?! — mówi surowo. — Czy chcesz, aby ojciec przyszedł cię zsadzić.

Kazio otwiera oczy.

— Zara, mamuńciu, zara.

Po chwili schodzi z szafki i zaczyna się zaspany rozbierać.

— Cóżeś ty tam robił?—pyta matka.

— Widzi mamuńcia, ja się muszę wprawić, żebym, jak pojadę do Ameryki, umiał na drzewach sypiać.

— No, no, rozbieraj się prędzej, ty, Robinzonie.

Matka czeka, aż chłopiec położy się spać.

Kazio, wszedłszy pod kołdrę, wyciąga rękę po dłoń matki i całuje.

— Dobranoc mamuńci.

— Dobranoc.

Robi nad nim znak krzyża, całuje go w czoło i wychodzi.

Nic już nie przerywa nocnej ciszy.

PAN PROFESOR FILOZOFII:

POMYSŁ DO POWIEŚCI.
OPOWIADANIE AUTORA.

Potopowicz, nie tyle prawdziwie znakomity, ile zręczny i modny powieściopisarz, zaprosił gronko przyjaciół, paru panów i kilka pań, do swego „Tusculum", pewnej wrześniowej niedzieli. Kupił był właśnie owe tusculum — folwark, bardzo pod względem gospodarczym zaniedbany, ale dekoracyjnie i malowniczo położony wśród pól, tak mocno pofalowanych, że miejscami tworzyły jary i niemal wąwozy; i to tusculum jeszcze mu się nie sprzykrzyło. Zapewniał ciągle przyjaciół, z najlepszą wiarą, iż teraz dopiero pokaże światu czem jest i że, jeżeli obecnie weźmie pióro do ręki, niżej arcydzieła nie będzie umiał nic napisać.

Wprawdzie na to wszystko piękna, jasnowłosa, niezapominajkooka pani Potopowiczowa mówiła do tychże przyjaciół:

— Zobaczycie, jak on będzie z tego tusculum uciekał niedługo—do Paryża, albo na Rivierę! w dyrdkę, mówię wam!

A przyjaciele się uśmiechali, albowiem jest to łatwy i miły sposób okazać swoją uprzejmość, gdy człowiekowi jest wszystko jedno.

Jednak, nagleni ciągłemi zaprosinami, wybrali się pewnej niedzieli na wieś.

I jakże niebo źle nagrodziło ten akt poświęcenia! Deszcz lał od chwili ruszenia pociągu w drogę, lał do południa, póki się jechało koleją, potem na godzinkę pofolgował, podczas gdy towarzystwo nasze bawiło na szosie i bocznych drogach, aby nie przesadzić w okrucieństwie, lecz skoro powozy wjechały w aleję topolową, prowadzącą do dworu, począł deszcz lać znowu, i to lać, jak z cebra, niby na powetowanie swej wstrzemięźliwości czasowej.

Obiad jednak już na gości czekał, więc humory się poprawiły, a nawet wkrótce uczyniło się bardzo wesoło, a to dzięki temu, że panowie byli wymowni, dowcipni i wykształceni, panie światowe, piękne, inteligentne, a wszyscy naturalni i swobodni. Zaręczam ci, czytelniku, że raz znalazłszy się w takiem towarzystwie, nigdy byś go nie chciał opuścić.

Jedyny człowiek, który w tem wykwintnem gronie nadrabiał miną, był Potopowicz sam. Ten deszcz niemiłosierny gniewał go aż do wściekłości, którą tłumił. Wydawało mu się bowiem, że goście jego są źli na niego i na jego tusculum, a tylko przez delikatność towarzyską zamazują złość swoją i na żartobliwość się wysilają. A przytem żal mu było, iż swego tusculum nie może przyjaciołom pokazać w jego piękności i dać im odczuć, jak mu tu jest dobrze.

Spojrzał raz i drugi przez okno.

Brrr!...

Wczoraj tak powabne, tak uśmiechnięte były drzewa parku, słonecznem złotem nasycone, i tak miękko lśniły trawniki, poubierane astrami i lewkoniami, w których się gouiły muszki i robaczki. Teraz takie to oślizgłe, niegościnne, posępne.

Ale powoli atmosfera szczerej wesołości, jaką przepełniony był pokój jadalny, poczęła rozpraszać jego troskę. Wszyscy byli istotnie i szczerze weseli; a zwłaszcza piękna, jasna gosposia, która posiadała niesłychaną werwę zawsze, mechanicznie niejako, ilekroć panu mężowi los pokrzyżował szyki, w sposób nieodbijający się jednak na stanie jego materyalnych interesów. Sypała żartami, siała złośliwości wykwintne i zachwycała nawet kobiety. Dobierając na talerz kaczki z jabłkami, Potopowicz uświadomił sobie pewne uczucie, które zły humor jego rozpędzało, myśląc: „Ta ekra słoneczna, ten ptak rajski — jest mój". A jego uśmiech sztuczny, który go kosztował coś nie coś, nasycił się szczerością i odbijał weselem.

Po obiedzie przeto, kiedy panowie wypalili cygara, a panie odświeżyły się przed lustrem — deszcz lał bez przerwy — Potopowicz uczynił zebranym na nowo w salonie gościom propozycyę:

— Jeżeli chcecie, opowiem wam najbliższe moje arcydzieło...

Na co zaraz piękna gosposia szepnęła:

— Jego gościnność nie ma granic...

Goście jednak byli zachwyceni, albowiem, jak wspominałem, Potopowicz nie był wcale pisarzem genialnym, ale był bardzo modnym, co znaczy dużo więcej.

Z oznakami żywego zadowolenia począł każdy szukać wygodnego miejsca, z wyjątkiem może jednego Manińskiego, który znany był z próżności i z tego, iż dla niego nie było nic świętego; chciał się on usadowić na kanapce, obok czarującej baronowej Żabkowskiej. Ale baronowa z żywością zaprotestowała:

— Nie, nie! proszę usiąść tam, na fotelu...

Za co Potopowicz posłał jej zaraz spojrzenie, jeżeli nie przesycone wdzięcznością, to przynajmniej kwitujące z odbioru.

Uczyniła się zaraz cisza, która mocno pochlebiła artyście, i ten zaczął — od wstępnego pytania:

— Czy to państwu nie przeszkodzi, że bohater mojej powieści jest profesorem filozofii?...

— To bardzo wesołe — zauważyła pani Potopowiczowa.

— Może która z pań zechce być chrzestną matką jego i wybrać mu imię?

Każda z pań rzuciła jakieś imię męzkie.

— Przypuśćmy więc, że... Remigiusz — rzekł Potopowicz, spojrzawszy na baronową wzrokiem, mówiącym, że w jego pamięci nic nie ginie. — Jest to uczony, jest to filozof, profesor uniwersytetu i sławny zagranicą nawet z dzieła, na dwa czy trzy języki obce tłómaczonego, o determinizmie.

W tem miejscu Potopowicz udzielił łaskawie objaśnienia:

— Determinizm, jak to państwu zresztą wiadomo, jest to nauka, zaprzeczająca wolnej woli człowieka.

Kilka osób, które o tem nie wiedziały, z pewnym pośpiechem kiwnęły głowami.

— Remigiusz więc jest człowiekiem wybitnym — ciągnął Potopowicz. — Jest to jeden z tych myślicieli, który, zapatrzony w słońca abstrakcyi, rozbija sobie nos o drzewa przydrożne i wchodzi na płoty. Umysł ma głęboki, duszę poważną, charakter prawy. Czysty jest, jak anioł, i przytem naiwny, jak dziecko. Takim dla mojej powieści potrzebny jest bohater. Musi on mieć jeszcze silny głód uczucia, mniej więcej nieświadomy...

— Do tego wszystkiego—ciągnął dalej Potopowicz—trzeba mu teraz dorobić pacholęctwo. Jestem zmuszony odebrać mu rodziców w najmłodszych latach — to trudno. Jego ojciec będzie albo bogatym przemysłowcem, albo zamożnym obywatelem; zdecyduję się pewno na przemysłowca, dlatego, że fabrykę lepiej skapitalizować, a chciałbym, aby Remigiusz nietylko nigdy nie doznał braku pieniędzy, lecz nawet, aby mógł, w pewnej decydującej chwili swego życia, być uważany, jako bardzo pożądany kandydat na męża... A więc jego ojciec, dzielny przemysłowiec, zostawia sierotę na opiece wspólnika swego. Wspólnik jest człowiekiem zimnym, ale nieposzlakowanie uczciwym; jest to Niemiec; dlatego Remigiusza posyła do szkół niemieckich, uważając je za pierwsze w świecie, i popycha go na uniwersytet w Tybindze albo w Getyndze, trochę bojąc się dlań pokus wielkich miast. Zresztą daje mu dużo pieniędzy i więcej jeszcze wolności. Remigiusz nie okazuje żadnych zamiłowań przez czas dłuższy; jest to nieśmiale, dobre,

usłużne, uczuciowe dziecko; uczy się wybornie, ale bez zapału. Kiedy przychodzą jednak studya filozoficzne, w młodzieńca dotąd apatycznego wstępuje ogień; światy poczynają mu się w duszy walić, odradzać, walić na nowo, na nowo wychylać ze zgliszczów. Dobiera sobie towarzyszów, z którymi wyprzedza kursy profesorskie, a przy Kancie dostaje gorączki—i bredzi. Ciska się w szaloną pogoń za teoretyczną prawdą, sto dramatów odgrywa się w jego duszy, która nawet chwieje się trochę w swojej osadzie, ale wakacye, przepędzone w górach, w spokojnej i kojącej atmosferze, jaka panuje w domu pastora, ojca przyjaciela i kolegi Remigiusza, doprowadzają go do równowagi. W październiku wraca polski student na niemiecki uniwersytet w Tybindze, czy też w Getyndze, przekonany mocno, iż trafił na swoją drogę; poświęca się filozofii. W dwudziestym ósmym roku życia wydaje dzieło o determinizmie, które czyni nazwisko jego głośnem, i zostaje prywat-docentem przy uniwersytecie berlińskim, zkąd go w lat dwa czy trzy ściągają do kraju, dając mu w Warszawie, Krakowie albo we Lwowie profesurę nadzwyczajną, z przyrzeczeniem, że na zwyczajną katedrę nie będzie zbyt długo oczekiwał. Remigiusz więc wraca do kraju—i tu się zaczyna moja powieść.

— Nareszcie!—wzdycha żona.

— Ta powieść zaczyna się od wycieczki zamiejskiej, na której Remigiusz poznaje panią... Proszę o imię kobiece, panowie!

— Sympatyczne, czy niesympatyczne?—informuje Maniński.

— Grubo niesympatyczne.

— Klotylda!—woła.

Wszyscy są oburzeni. Pani Potopowiczowa zwraca się do baronowej:

— Droga pani, niech pani w niego czem ciśnie.

— Wybierzmy poprostu jedno z imion, tu nieobecnych: Anna, czy zgoda?

Nikt nie protestuje.

Pani Wołoczyńska jednak ma coś do nadmienienia:

— Nie lubię powieści, w których bohaterka jest kobietą niesympatyczną; taka powieść nigdy nie jest dobra. Toż samo, gdy i bohater jest niesympatyczny. Czytelnik musi się trochę w bohaterce kochać, jak i czytelniczka w bohaterze. Powiecie, że to *vieux jeu*, *mais c'est comme ça*...

Potopowicz pośpieszył zaraz zażegnać wybuch dyskusyi estetycznej, która była dlań w tej chwili bardziej aniżeli nie na rękę.

— Ma droga pani zupełną racyę—rzekł prędko — to też, korzystając z mojej władzy, postanawiam ukarać panią Annę: degraduję ją z wysokiego stanowiska bohaterki powieści...

— Brawo!—szepnęło parę pań.

— Otóż powiem państwu odrazu to, czego moi czytelnicy będą musieli się sami domyśleć, i nie bez pewnego trudu, że ta kobieta jest poprostu — *une méchante femme*...

— Brzydka przytem?—zapytał któryś z panów.

— Ach, nie. Piękna. Tylko w pośród pięknych kobiet przecież można znaleźć złe kobiety.

Piękność pani Anny jest zresztą chłodna, klasyczna, polega cała na kształtnej figurze, proporcyonalnych szczegółach i poprawnych liniach i rysach; ma nos prosty i mocno wyrysowany, czoło gładkie i białe, usta harmonijne, ręce piękne. Spojrzenie jej jest twarde, obejście wyniosłe, a rys charakterystyczny — ogromna pewność siebie, ton mowy i gest prawie rozkazujący. Rys głębszy jej duszy— to egoizm, wszystko inne bewzględnie duszący i wyrażający się naturalnie i żywiołowo w despotyzmie, który wydaje się nieznośnym nawet tym, co zetknęli się z nią na krótko na przypadkowym i neutralnym gruncie towarzyskim...

— I Remigiusz będzie zmuszony taką kobietę kochać?—zapytał ktoś półgłosem.

— Niestety — odrzekł Potopowicz z prawdziwem współczuciem w głosie.—Zresztą istoty najbardziej samolubne bywają, jakgdyby dla samolubstwa tego właśnie, najsilniej, najnamiętniej kochane. Powiem państwu jeszcze dwa szczegóły i zaraz przystępuję do akcyi: pani Anna, kobieta trzydziestoletnia w chwili rozpoczęcia tej akcyi, ma męża, który jest nauczycielem gimnazyalnym przypuśćmy, wykładającym jaki nie zanadto inteligentny przedmiot, jak naprzykład geografię, albo, od biedy, łacinę i grekę; istota chorowita, kwękająca i zahukana przez imponującą kobietę w sposób tak absolutny, że się tego biednego człowieka ani na świecie, ani w domu nawet wcale nie spostrzega. Był on już wdowcem, gdy się ożenił z piękną Andzią, i miał córkę, której na imię... Stefania, a która w pierwszym rozdziale ma lat mniej więcej dziesięć. To dru-

gi szczegół. A teraz—kurtyna idzie w górę. Jesteśmy na wycieczce, na majówce. Remigiusz tylko co się osiedlił w polskiem mieście i po raz pierwszy bodaj zetknął się z polskiemi paniami. Piękność dojrzała pani Anny, jej imponujące obejście się, odrazu nań robią wrażenie—pociągają go i onieśmielają: kilka słów łaskawych wprowadza go jakby w odurzenie, miesza go, rumieńcem oblewa. Nieśmiały i z natury i z fachu swego, poszukuje prędko w tem gronie istot, stojących na ostatnim planie, i znajduje się pomiędzy bladym i pochylonym ku ziemi, ciałem i duchem, nauczycielem gimnazyalnym a jego córką; jest mu wśród nich dobrze i ciepło, a jeszcze nie wie, jakie stosunki łączą tych dwoje ludzi z imponującą damą; w środku zabawy dowiaduje się, że to jej mąż, a to jest pasierbica; czyni mu to ich drogimi i cały zasób uprzejmości, całą swoją sztukę przypodobania się wysila, aby stać się im sympatycznym. Nauczyciel zresztą jest małomówny, natomiast konwersacyę podtrzymuje dziewczynka, dziecko bardzo poważne i najmniej zbytkujące z całego towarzystwa, w którem są, prócz niej, sami dorośli. Bystro patrzy na Remigiusza ciemnemi szafirowemi oczami, osadzonemi głęboko i, ośmielona uprzejmością i ciągłą na nią i na ojca jej uwagą Remigiusza, zadaje mu jedno zapytanie po drugiem, zapytania bardzo poważne, choć bardzo dziecięce, na które profesor filozofii usiłuje dać odpowiedzi najbardziej metodyczne, choć najmożliwiej popularne.

Tu przerwał niespodzianie Maniński:

— Powiedz, ta mała — to bohaterka twojej powieści?...

— Dowiesz się w swoim czasie...

— Przyznaj się odrazu.

— Mam prawo nie powiedzieć, no i nie powiem. Nazajutrz po tej wycieczce Remigiusz czuje się odurzony, ale ani się domyśla, jak ciężko dzień wczorajszy w życiu jego zaważy. Trzeciego dnia spostrzega, że mu praca, że mu myślenie wcale, a wcale się nie udają; natomiast szczegóły różne wycieczki powracają raz po raz na pole wyobraźni. I nagle, rzutem instynktownym myśli, dochodzi do przekonania, że cięży na nim obowiązek złożenia wizyty pani Annie i panu Nasturskiemu, jej mężowi. To wprawia go w radość i w gorączkę. Ledwie doczekać się może przyzwoitej godziny popołudniowej i ręce mu się trzęsą, jak w febrze, gdy wkłada surdut na siebie. Idąc przez ulicę, przychodzi mu na myśl, że może nie zastać w domu gospodyni, i robi mu się w duszy ogromnie ołowiano. Gdyby nie był profesorem filozofii, mógłby wprawdzie powiedzieć sobie: „zapytam w przedpokoju, czy ona jest w domu, a gdy nie będzie, powiem, że jutro tu wrócę"; ale ta wysoka spekulacya praktyczna, znajduje się poza obrębem dyskursywnej myśli pana profesora. Idzie więc i martwi się... Ale kiedy wstąpił na schody, odrazu coś się w nim zmienia i zaczyna się bać, bać wielkim strachem zobaczenia pani Anny; z szeregu obaw, które z morza nieświadomości wychylają się zbyt mało, aby je z twarzy czy z imienia mógł rozpoznać, jedna obawa gra w nim mocno a wyraźnie: boi się

okazać zanadto głupim. Pan profesor uniwersytetu i autor dzieła o determinizmie, tłómaczonego na dwa czy trzy języki europejskie... Z radością więc teraz spogląda w twarz ewentualności: „może jej nie być w domu". Ach, gdyby zastał jedynie milczącego nauczyciela geografii i jego roztropną córeczkę!— „Czy państwo w domu?"—pyta służącej, patrząc na nią wytrzeszczonemi oczami. „Pani przyjmuje"— odpowiada.

Pani wita łaskawie gościa, który nie wie, czy ma postąpić prawą nogą naprzód, czy lewą, i wskazuje mu fotel. Ubrana jest w jaskrawą czerwoną suknię, czarnemi koronkami obramowaną, w której jest jeszcze piękniejsza, aniżeli na wycieczce. A że rozmowa, poczynana o tem i o owem, nie klei się, usiłuje ją ożywić, przenosząc na grunt fachu gościa, o którym sobie wyrabia przytem lekceważącą opinyę, jako o człowieku nieobytym i któremu brakuje wychowania. Powiada więc, że to jest piękne powołanie urabiać umysły młodzieży. Remigiusz chwyta się tego frazesu obiema rękami. Mówi jej, że filozofia była zaniedbana w uniwersytecie naszym, i wogóle na świecie, ale że przyszedł czas odrodzenia jej i że Remigiusz uczyni, co tylko będzie można, aby młodzież pociągnąć w filozoficznym kierunku. Zaraz się pochwalił, z ogromną niezręcznością, swojem dziełem, a pochwalił tak nie przez próżność, lecz jedynie, aby znaleźć jaki grunt stalszy pod konwersacyę; właśnie, oprócz kursu logiki i pedagogiki, ogłasza dodatkowy kurs dla więcej zaawansowanych, w którym wykaże, że wolna wola człowieka jest jednem z najnaiwniejszych złudzeń...

Pani Anna także, aby konserwacyę podtrzymać i zresztą dlatego, że jej nigdy w życiu niczyja mądrość ani uczoność nie imponowała, ani nawet nie zastanawiała, odrzekła surowym tonem, który był jej tonem naturalnym niejako: „Jak pan może takie rzeczy wpajać w młodzież; to się sprzeciwia religii". Pan profesor filozofii, choć tak urobione miał argumenty w sprawie wolnej woli, zapomniał jednak na chwilę języka w gębie, wobec stanowczości i formy, w jakiej mu powyższy kontr-argument podano, począł coś mówić o zasadniczym rozdziale wiary i wiedzy, teoryi i praktyki, poznania i postępowania. Pani Anna przerwała mu w połowie słowa jakiś frazes, mówiąc z dumą, słuszną w tym razie: „Ja zawsze robię, co chcę". Ale po chwili, przysłaniając, jak zawsze to czyniła, nagość swego egoizmu pierwszym z brzegu dźwięcznym, a wytartym frazesem, dodała: „a chcę zawsze tego, co mi obowiązek nakazuje". Pan profesor coś niecoś bąknął o tej grze pobudek, której polem jest świadomość ludzka, a gdzie, jak w turnieju, silniejszy zawsze zwycięża; ale język mu się plątał, tembardziej, że wydawało mu się, iż jak na pierwszą wizytę, nieprzyzwoicie długo siedzi; to też, zadowolniwszy się wyciągnięciem najpobieżniejszem swego wniosku, wstał, ucałował podaną z łaskawością rękę—i wyszedł.

Wyda się to wam może, państwo łaskawi, nadużyciem, że w szkicu tak pobieżnym, jak nim być może niniejsze opowiadanie, tak detalicznie opisałem wam tę pierwszą wizytę Remigiusza i tę pierwszą jego rozmowę z kobietą, dlań fatalną. Ale pochlebiam sobie naprzód że ta scena jest dość cha-

rakterystyczna sama przez się, a potem, muszę was poinformować, że ta krótka i nad wszelkie powiedzenie banalna rozmowa miała najbardziej doniosły wpływ nietylko na życie, ale i na bieg rozumowań i dociekań profesora filozofii, do tego stopnia, że podważyła jego wiarę filozoficzną, ba, nawet więcej. Zobaczycie wkrótce, co może w dziedzinie, która zdawałaby się nam wszystkim tylko teoretyczna, kobieta, a właściwiej, co w tej dziedzinie, powiedziałbym spokojnej, klarownej i mroźnej, jak lody arktyczne, może namiętność.

Dla Remigiusza rozpoczął się więc nowy, niespodziewany, pełen nieporządku wewnętrznego i rozstroju okres życia. Co się w nim istotnie działo, nie domyślał się i nie prędko się jeszcze domyśli. Miłość stanęła w jego duszy bowiem w formie filozoficznej, a odwiecznej sprawy musu i wolności; i kiedy amor złośliwy znęcał się nad nim, wrażając weń swoje strzały, najdotkliwiej raniące i najboleśniej szarpiące, naiwna jego ofiara, czas pewien przedstawiała sobie, że istotę tej nieznośnej, a jednak słodkiej męki stanowią wahania i wątpliwości, które tryumfujący dotychczas determinizm obsaczyły, niby młode piękne dziewicze ciało, rój os złośliwych a zaciętych.

Nieszczęśliwy uczony stracił spokój, stracił pogodę, a po miesiącu, dwóch, stracił i pewność siebie. I kiedy przyszła jakaś przerwa szkolna, pojechał coprędzej do Getyngi czy też Tybingi, do starego swego mistrza, aby z nim raz jeszcze roztrząsnąć kwestyę, o której już tyle się narozmawiali. Mistrz był bardzo stary; nie mógł już ani

chodzić, ani czytać, ani pisać; prowadzono go jednak do uniwersytetu pod ręce, i nie przerywał swoich wykładów. Czytano mu książki i pisma, i pisano, co dyktował, nie zawiesił więc i swej zawsze obfitej produkcyi. Swoich teoryi bronił on zawzięcie, jak dawniej, jak zawsze. Remigiusza skrzyczał, przypomniawszy mu, że to on sam właśnie, w swojej książce o determinizmie, dał wystarczającą odprawę zarzutom, które mu teraz przywiózł w formie wątpliwości. Ale jednak ci, co bliżej stali mistrza, spostrzegli w nim pewną ewolucyę i Remigiuszowi się z tem spostrzeżeniem zwierzyli. Mistrz od pewnego czasu ze szczególnem upodobaniem i naciskiem powtarzał, że *mann muss philosophiren, mann muss immer philosophiren,* egzaltując ten aforyzm do wysokości jakiejś zasady powszechnej, a z rozwinięć, jakie tej zasadzie dawał, wypadało, iż nie rezultat filozofowania — prawda, jest celem ludzkości, ale sama funkcya filozofowania. Można było ztąd łatwo wyprowadzić wniosek, że byle ludzkość filozofowała, wszystko już jest dobrze, niezależnie od tego, czy w swych wywodach dochodzi do niebiańskiego optymizmu czy też do realistycznego pesymizmu; a w ten sposób dogmatyk, jakim był mistrz, twórca słynnej szkoły, zamienił się w sceptyka. Remigiusz więc u mistrza nie znalazł ani spokoju, ani nawet pociechy; i kto wie, czy nie wrócił do domu mocniej jeszcze w swym determinizmie zachwiany, radykalniej przynajmniej, aniżeli gdy był się puścił w podróż.

Z uwagi na obecnych tu kilku mężczyzn, nie chciałbym być zanadto poważnym, ani zanadto uczo-

nym w wykładzie psychologii mojego nieszczęśliwego profesora filozofii. Ale ten wypadek—z którego mam zamiar być dumnym — jest tak wyjątkowy i wdzięczny, że słów kilka analizy psychologicznej muszę tu wypowiedzieć, państwa zaś zapraszam do uwagi, bo okazya podobna wam się może już nie zdarzy. W naiwności więc swojej Remigiusz parę na wiatr rzuconych zdań kobiety, która mu w krew już się wessała, bierze za argumenty, nad wyraz ciężkie i doniosłe. Ponieważ jego myśl musi już teraz latać, jak u monomana, około jednego tylko przedmiotu — więc naokoło paru słów pięknej kobiety nawija nieskończone pasma rozumowań; tak obarczone słowa te ubogie wydają mu się nieledwie traktatami, a ich autora ma, oczywiście, za najrozumniejszą kobietę pod słońcem, a i za najuczeńszą. Chodzi teraz do jej domu, zapraszany od czasu do czasu na filiżankę kawy, albo na szklankę herbaty, a wstępuje w te progi, jakby się do świątyni wiedzy i piękna wstępowało. Pani Anna spostrzega rychło, jakie wrażenie czyni na nieśmiałym i niezgrabnym profesorze; na razie to ją dziwi, bo choć o piękności swojej nie wątpi, ale, doprawdy, nie mrugnęła była okiem, aby się temu człowiekowi spodobać.

Ale jej to pochlebia. Jest więc uprzejma dla swego niespodziewanego wielbiciela i dba o niego— zwykle kosztem dość ciężkich nudów. I tu chciałem się podzielić z państwem własną swoją uwagą, dodając, że będzie mi bardzo przyjemnie, gdy uznacie zarówno jej świeżość, jak i bystrość; przenikliwa ta uwaga opiewa, że złe kobiety często, dodam

zwykle nawet, bywają lepsze dla tych, którzy je kochają, od dobrych kobiet; zwłaszcza nieszczęśliwych wielbicieli umieją one uczynić mniej nieszczęśliwymi, aniżeli kobiety dobre, które są w takich razach zwykle bezradne i okrutne, dzięki uczciwości swojej i prawości samej. Przez chłodne zastanowienie, przez wyrachowanie, przez chęć utrzymania uczucia, które ją bawi, które jej pochlebia, które ją dla innych ponętniejszą i pożądańszą czyni, które jej przynosi drobne lub grube korzyści, zła kobieta nieudanemu wielbiciclowi daje jednakże więcej siebie, aniżeli dobra—(że w całej tej dysertacyi najlepsze kobiety pozostawię zupełnie na uboczu). Oto dlaczego coraz szerzej począł się przed Remigiuszem otwierać dom, który stał się teraz całym jego światem.

Gdyby kto z państwa wstąpił do domu Nasturskich w pół roku po owej wycieczce, która stanowi pierwszy rozdział mojej powieści, przekonałby się, że Remigiusz posiadał tam wyborne stanowisko i był w najlepszych stosunkach z panią Anną, z Nasturskim i z małą Stefką; był przyjacielem każdej z tych osób z osobna i wszystkich razem wziętych, co mu czyniło życie słodkiem i interesu pełnem, jakkolwiek redaktor „Przeglądu Filozoficznego", pomimo dwunastu przypomnień, nie mógł otrzymać od niego sprawozdania z nowej książki najdroższego jego mistrza tybingeńskiego czy getyngeńskiego.

Utrzymanie Remigiusza na tej odległości, na jakiej się trzymać go pięknej pani podobało, należało do najłatwiejszych sztuk na świecie. Pani An-

na kierowała nim, jak lalką o bardzo czułych sprężynach i jeżeli nie wmówiła w niego, że jest bocianem i powinien stać na jednej nodze, to głównie dlatego, iż taka nieruchomość jego nie leżała w jej interesie, potrzebowała bowiem bardzo często mieć załatwione drobne sprawy i sprawunki, a lubiła, aby to robione było prędko, dokładnie i bez zapominania.

Prosta i naiwna dusza Remigiusza uidealizowała i upoetyzowała panią Annę tak na wskroś, jak to uczynić mogło serce głębokie, ale pozbawione imaginacyi żywej, plastycznej, artystycznej. To też poprostu i bez komplikacyi wierzył on, że los, wyjątkowo dlań łaskawy, dał mu spotkać i zaprzyjaźnić się z kobietą, która składała się z samej mądrości, piękności i zacności.

Pani Anna, która bez ceremonii i z bezczelnością, do pasyi doprowadzić mogącą każdego średniej nawet bystrości obserwatora, podawała się za wzór surowej cnoty i osobę zawsze i w sposób fatalny mającą racyę, grała tylko do wtóru tym uczuciom uwielbienia, jakie naiwny filozof nosił w duszy; przytem nieraz aż ją samą uderzało, jak ten wtór głuszy, rozmiarami brzmienia i harmonijnością, główną melodyę.

Gdy się zdarzyło, że coś nagiego i brzydkiego w jej słowach, w jej gniewie, jej chciwości, jej nieuwadze na nic i nikogo, uderzyło go w oczy, doszukiwał się starannie najlepszych pobudek, albo najlepszych celów w postąpieniu, które miało tak szorstki i przykry pozór i zawsze te pobudki i cele po dłuższem lub krótszem myśleniu — wynajdował.

Filozoficznie zaniedbał się on, ale nie zanadto. Myślenie metodyczne było jego pasyą, której żadna inna dość gruntownie zniszczyć nie była w stanie. Samodzielne studya tylko na razie prowadził bez zwykłej intensywności, do czego się przyczyniły nieco i nowe jego obowiązki wykładania przedmiotów filozoficznych po polsku, co mu czyniło niemało trudności. Po upływie roku jednak trudności te pokonał. Po upływie roku też spostrzegł, że to, co mu się tak pewnem i niezachwianem wydawało, gdy z obcej na ojczystą ziemię wracał — musowy i prawie mechaniczny ustrój świata, w myśli jego, pod wpływem dorywczych, ale uporczywych analiz, stracił dawną tęgość i sprężystość. Dziś za determinizm porąbać by się już nie dał.

Rzecz dziwna i rzecz niezawodna: był to wpływ pani Anny, był to skutek pierwszej rozmowy, jaką z nią przeprowadził, słowa jej, które tak głęboko wpadły mu do duszy: „religia", „ja chcę", „obowiązek", „niewłaściwość wykładania prawd, rujnujących jednostki i społeczeństwa, jako prawdy dla młodzieży szkolnej"—wszystkie te słowa wypełniły się olbrzymią treścią, jaką dały im długie lata studyów Remigiusza.

To był jednak fakt, że dusza jego szukała już nowych, innych oryentacyi i że obudziły się i poczynały szukać sobie form uświadomionych pod tak przypadkowym wpływem, jak parę pierwszych lepszych słów, wypowiedzianych przez piękną kobietę w krytycznym momencie, gdy serce filozofa zaczęło łaknąć miłości. Kiedy, po roku fermentu, wpadła mu w rękę przypadkowo książka Renouvier'a, zna-

na mu już zresztą, fakt, iż cały nasz język, będący przecież naturalnym produktem, przyrodniczym objawem, tak jest urządzony, że wyraża ustawicznie przypuszczenie wolnej woli w człowieku, wydał mu się argumentem przeciw determinizmowi tak bardzo poważnym, iż pojąć nie mógł, że w swojem dziele rozprawił się z tym argumentem jedynie w lekceważącym przypisku.

Tu Maniński przerwał rzecz Potopowicza:

— Dyablo uczona jest ta twoja powieść, mój drogi!... Ale powiedz mi, czy ty pewien jesteś, że cała ta teza twoja—nie jest to tylko śmiałe, iż tak rzekę, pływanie? i czy możliwem jest, aby w filozofii grały rolę jakąś takie rzeczy, w jakie ty nam, ludziom dobrym i zgodnym, każesz wierzyć?

— Mój miły—odpowiedział Potopowicz—filozofia jest dziełem filozofów, a filozofowie są ludźmi. Nie będę twierdził, że przekonania są kwestyą szerokości geograficznej, bo jednak na każdej szerokości znajdujemy je wielce urozmaicone. Ale to pewna, że na poglądy i pojęcia człowieka składają się nie same tylko sylogizmy, mniej albo więcej poprawne wyciąganie wniosków z przygotowanych przesłanek, ale także i pasye, i skłonności, i jeszcze prosty przypadek. W dziedzinie doświadczenia to się można jeszcze przy samych faktach spotkać, ale gdy te fakty przyjdzie wiązać w całość architektoniczną, okazuje się tyle stylów, ilu budowniczych.

— I dziś nawet?

— I dziś nawet.

— Wiesz o tem dobrze?

— Jak najlepiej.

— A no, to jedź dalej.

— Jadę dalej. Jeżeli się od kogo z cierpliwych moich słuchaczów mogłem spodziewać jakiej interpelacyi, to zgoła nie tej, jaka mnie spotkała. Wyobrażałem sobie raczej, że rzucone mi będzie wyzwanie uzasadnienia, jak to stać się mogło, iż obcując bliżej z ideałem swoim, pan profesor filozofii nie spostrzegł w końcu, że tyle się ideał ten zna na determinizmie i indeterminizmie, ile koza na pieprzu. To trzeba istotnie objaśnić, a właściwiej mówiąc, to trzeba istotnie odmalować. Tak jednak niestety było, że Remigiusz nie podejrzewał wcale głębokiej ignorancyi i braku kultury umysłu pani Anny i gdyby znalazł się ktoś, coby go o tem zapewnił, przyjąłby to z uśmiechem, jak tezę Zenona eleaty, przysięgającego się, iż Achilles nigdy nie będzie w stanie dogonić żółwia, który przed nim biegnie. I rzekłby sobie: „jak to jeden człowiek może zapoznać drugiego". Jest to wielki dziw miłości. Kobieta, która umie miłość, jaką wzbudziła, utrzymać dłużej, umie utrzymać też i wszystkie, a przynajmniej najgłówniejsze ze złudzeń, jakiemi miłość żyje i oddycha. Zresztą na to wystarczy *minimum* zręczności. Pani Anna wiedziała, że pod wpływem jej uwag profesor uniwersytetu i młoda sława począł wątpić, azali prawdą jest to, co sobie dziesięcioletniem ślęczeniem zdobył. Powiedział jej to parę razy. Otóż wydało się jej to naturalne, a to nie dlatego, że pewna była, iż jej prawda mocniejszą jest i jaśniejszą, aniżeli prawda przeciwna, ale że nie przyszło jej prawie nigdy na myśl, iż może być w błędzie. Nie pomyślała też nigdy, że mogą być

wysokości dla jej nóg, dla jej płuc niedostępne; były tylko dla niej regiony, w których nic nie miała do roboty i dlatego jej nie interesowały. Wydało się też jej to tak naturalną rzeczą, iż Remigiusz zmienia swoje poglądy, które zganiła i dlatego, że je zganiła, że nawet nie dostrzegała w tem skutku i akcyi miłości, jaką w nim wzbudziła. Nie pozwalała mu zresztą mówić za dużo o filozofii, a to nie dla tego, żeby obawiała się zdradzić i urok swój nadwyrężyć — nie, lecz żeby się nie nudzić i czas spędzać w zabawniejszy sposób.

Mówiła przeto do Remigiusza:

— Proszę odłożyć filozofię na bok; ja chcę, aby mój dom był dla pana miejscem wypoczynku; wypoczynek dla osób, pracujących umysłowo, jest konieczny.

Remigiusz natychmiast stosował się do rozkazu; zresztą było to rzeczą dosyć trudną, jeżeli nie zgoła niemożliwą, do tych rozkazów się nie stosować, a wróciwszy do domu, rozbierał i oceniał, ile wiedzy, doświadczenia, mądrości i dobroci było w tym rozkazie, przywołując na świadków i rzeczoznawców psychologię, fizyologię i hygienę. I usypiał z uśmiechem uwielbienia na ustach, zapewniając poduszkę swoją, co to za kobieta wyjątkowa ta, z którą los łaskawy go zetknął...

Po jakimś roku miły ten stosunek stał się jeszcze milszy. Oto w jaki sposób:

Nasturski był człowiekiem chorowitym i wątłym, a w ostatnich czasach zdrowie jego tak dalece się pogorszyło, że były obawy, iż nie doprowadzi lekcyi swoich do końca szkolnego roku. Do-

prowadził, z trudem wielkim, jednak w wakacye rozchorował się na dobre. Trzeba było leczyć i system trawienny i nerwy, a lekarze wysyłali go w góry do jakiego dobrze urządzonego domu zdrowia. Na to potrzeba było sporo pieniędzy; tych brakło, a nawet pani Anna, wydając zawsze więcej aniżeli można i trzeba było, zadłużyła się u wszystkich kupców i dostawców.

Dlaczego nie zwróciła się o pomoc do Remigiusza?

Bo ani przypuszczała, że ten posiada coś więcej nad swoją pensyę profesorską i dochody z czesnego, i uważała, że robi on dosyć, zajmując się wszystkiemi rozrywkami i przyjemnościami, jakiemi od roku urozmaicała sobie życie.

Gdy sprawa zdrowia Nasturskiego weszła na porządek rozmów dziennych, Remigiusz nieśmiało i ze wzruszeniem zaproponował pożyczkę.

Nasturski się żachnął. Pani Anna, o którą tu nie szło, również uczyniła godną minę.

— Pan sam przecież nie jest zamożnym człowiekiem—rzekła Remigiuszowi.

Remigiusz się naiwnie zadziwił:

— Proszę pani, ja... ja mam dużo więcej, aniżeli dla mnie potrzeba.

I pani Anna się zdziwiła:

— Pan? Zkąd?

— Proszę pani, ja jestem właścicielem połowy dość poważnej fabryki w Warszawie, którą prowadzi mój opiekun i wspólnik.

— I ona panu przynosi?!..

— To zależy od roku, ale nigdy mniej, aniżeli dziesięć tysięcy rubli.

Była to wielka niespodzianka dla pani Anny. Ale bo i ktoby mógł się tego domyśleć? Remigiusz ubrany był zawsze tak niedbale, żył i mieszkał tak skromnie, nigdy się dochodami swymi nie chwalił. Wiadomość ta bardzo ją rozjaśniła i pełna zadowolenia—w wybuchu niemal—podała obie ręce Remigiuszowi, wołając:

— To co innego, przyjmujemy, drogi przyjacielu!

Remigiusz tego dnia wrócił upojony. Powiedziała mu „drogi przyjacielu"; nigdy nie słyszał melodyjniejszej muzyki nad głos jej, te słowa rzucający.

Nasturski pojechał więc się leczyć.

Jaki teraz jest stosunek bohatera powieści mojej do innych osób, stanowiących dom pani Anny? Odrazu wam mówię, że najlepszy, najserdeczniejszy. Remigiusz życzliwość, jaką ma w sercu do ukochanej, rozpościera na całe jej otoczenie, na jej biedaka męża, na jej pasierbicę, na jej meble i sprzęty, na ulicę, przy której mieszka.

Nasturski i Stefcia stanowią zresztą w domu jedno jakby stronnictwo, opozycyjne stronnictwo, opozycyjne skrycie. Władza jest zbyt silna, aby nie stworzyć opozycyi, jako swojej przeciwwagi, a zbyt sroga, aby opozycya ujawniała się swobodnie lub otwarcie. Pierwszy objaw opozycyi jest to, że ojciec i córka kochają się całemi duszami, drugi, że panią Annę również mocno nienawidzą. Mimo to, jedno drugiemu pomocy wiele dać nie może. Nasturski jest człowiekiem słabym fizycznie

i wszelkiej walki, wszelkiego piekła domowego musi się wystrzegać i unikać; pierwsze walki, przegrane oczywiście, kosztowały go zbyt wiele sił i kontrybucyi.

O walce Stefci z autorytetem macochy mowy być nie mogło. I dziewczyna nigdy o tem nie myślała. Prędko, w jakiś naturalny i instynktowny sposób odnalazła ona w stosunku do macochy swój własny sposób postępowania, swoją politykę i dyplomacyę, której pierwszym paragrafem było spełniać wzorowo i nienagannie swoje obowiązki; a to nie w strachu przed karą, bo tę by odważnie zniosła, ale w obawie potrzeby łaski, konieczności, upokarzania się, możliwości próśb. Mieć cokolwiek do zawdzięczenia macosze, oto na co młodziutka dusza dumnej dziewczyny nigdyby się nie zgodziła. Było to więc dziecko, jak automat posłuszne, jak lalka grzeczna i jak lód zimne wobec wszystkich oprócz ojca.

Pani Anna zresztą przeczuwała instynktem jej prawdziwą naturę.

Mówiła nieraz do Remigiusza:

— O, panie, mała wcale nie jest taki aniołek, jak wygląda. To komedyantka. Ma ona upór nielada, tylko, że się łamie.

I to była prawda. Mała łamała się przez lata, codzień. Ale to łamanie się wyrobiło u niej charakter nietylko męzki, lecz prawie bohaterski i rozwinęło jej umysł nad wiek i może nad miarę. W szkole nie było dla niej trudności i zajmowała pierwsze miejsce bez wysiłku i bez starań. Z tej strony nic ją spotkać od macochy nie mogło, a że

dobrze się uczyć był to jej najgłówniejszy obowiązek, swojemi stopniami, pochwałami i nagrodami czuła się jakby zabezpieczoną i zaasekurowaną na swoją ambicyę, i dumę, i godność. Remigiusz, który często z dziewczynką rozmawiał, zdumiony był jej umysłem otwartym, żywym, plastycznym i zdolnością do skupienia się, prawie fenomenalną w wieku, którego prawem jest roztargnienie. Jej uwaga i recepcyjność nie opuszczały prawie nigdy biegu myśli Remigiusza, który od czasu do czasu zatrzymywał się i pytał się: „zrozumieliśmy?" Dziewczyna odpowiadała cicho: „zdaje się"; wtedy on zadawał jej jedno jakie pytanie kontrolujące i prawie zawsze zadowolony z odpowiedzi, podejmował: „więc idźmy dalej". Te ich rozmowy były to zawsze wykłady, Remigiusz miał bowiem w sobie pasyę profesorską bardzo istotną. Pani Anna patrzyła na to, jak na rodzaj luźnych korepetycyi i mówiła sobie, że to zawsze on dla niej robi i te starania, i trudy; tem mniej zresztą mogła mieć cokolwiek przeciw tym rozmowom swego sługi i wielbiciela z małą, że ten, zachwycony pojętnością dziewczyny, zwracał się do jej macochy z wyrazami, w których drżało uwielbienie:

„Nic to dziwnego, że pod takim kierunkiem, jak pani, dziecko wyrasta na wyjątkowego człowieka"...

W tem miejscu piękna pani Potopowiczowa przerwała, wyciągając swoją białą, trochę tylko zbyt kościstą rękę:

— Mistrzu, zasłużyłeś na odpoczynek, a wy słuchacze cierpliwi, na trochę owoców.

I dała znak głową stojącej we drzwiach służbie, która wniosła na tacach winogrona, gruszki i brzoskwinie.

Zapadło milczenie, które powieściopisarz wytłómaczył sobie na korzyść swej powieści, a żeby dowieść, jak panuje nad sobą, powolnym ruchem sięgnął po największą gruszkę i, nie śpiesząc się, zaczął ją obierać.

Panie jednak były czy to istotnie zaciekawione, czy też tylko bardzo uprzejme, bo zaczęły się po krótkiej chwili upominać o ciąg dalszy.

Powieściopisarz więc, podziękowawszy im inteligentnem skłonieniem głowy za ich uprzejmość właśnie, a nie ciekawość—ciągnął dalej:

— Wyjazd w góry tego biedaka Nasturskiego, który ma złą chorobę w sobie i złą żonę obok siebie, dał mi powód do osobnego, trochę lirycznego rozdziału, który wygląda jako nowelka, tak jest epizodyczny, który jednak w gruncie rzeczy gra dużą konstrukcyjną, wiążącą rolę, co się dopiero znacznie później dowodnie pokazuje.

Wyjazd Nasturskiego rozłączył dwa serca, sobie na śmierć oddane: ojca i córki. Serca te poczęły płakać i tęsknić, cierpieć i krwawić się. Dziewczyna łatwiej jeszcze rozłąkę znosiła, nie dlatego, aby w duszy miłości miała mniej, lecz dlatego, że to ona posiadała serce dzielniejsze, pełniejsze odwagi, bardziej męzkie. A potem, była młoda; a potem, jeszcze swój ból umiała trochę w tajemnicy wypłakać, a trochę nad książką do nabożeństwa go wymodlić.

Ale Nasturski oddawał się rozpaczy; powie-

dziano mu najprzód, że w zakładzie musi zostać najmniej kilka miesięcy, a prawdopodobnie dłużej, przez zimę, do wiosny; rozłąka stawała się nieskończoną w jego oczach; dalej, w wyzdrowienie swoje ledwie wierzył, raczej pewien był, że umrze i śmierci się spodziewał. Umierać zaś zdala od tego drogiego dzieciaka, który nietylko był jedynym jego skarbem, ale który go lepiej od przyjaciół najwierniejszych rozumiał i który do tego stopnia był jego pomocą i siłą, że niemal role były tu zamienione: ona była jakby poważnym, dobrym, wyrozumiałym ojcem, a on jakby nierównem, kapryśnem, wymagającem pilnowania, przestróg, a nieraz i nauk moralnych dzieckiem—umierać, nie mając jej koło siebie, nie trzymając jej rączki, nie patrząc w jej rozumne oczęta. Nie!...

Nasturski uważał, że to jest więcej okrucieństwa, aniżeli się mu od najbardziej niełaskawego życia należy. Ale bezradny, cóż mógł innego robić nad pisanie do swej córuchny listów zrozpaczonych, nie mając pamięci ani bacząc, że tymi listami tylko jej rozpacz powiększa.

Co prawda, przychodziło mu to przelotem na myśl kilkakrotnie, ale był w stanie upadku ducha i zgryzocie tak silnej, że ta mu wszelką myśl bezinteresowną tłumiła; wydawało mu się, iż nikt nie może być nieszczęśliwszym od niego i że takie nieszczęście daje mu wszystkie prawa.

A teraz, co się działo w sercu dziewczyny?...

Pewnego popołudnia Remigiusz siedział zatopiony nad „Logiką" Siegwarta, przygotowując przyszły kurs swój, gdy usłyszał lekkie, nienatarczywe

pukanie do drzwi... Podszedł do klamki i ujrzał niespodziewanie Stefkę.

— To ty, Stefciu?—powitał ją serdecznie.

— Czy u pana nie ma nikogo? — zapytała dziewczynka półgłosem, z tajemniczą miną.

— Nie, nie ma, nie ma, moja panno. Proszę, proszę...

Stefcia weszła wtedy śmiało i rezolutnie. Usiadła na podsuniętem krześle, zaczęła mówić coś, ale nagle siły ją zdradziły, głos się złamał, łkanie odezwało się w krtani, a z oczu posypały się łzy, jak ziarnka przezroczystego grochu.

Remigiusz zmienił nagle uprzejmy uśmiech na wyraz zaniepokojenia.

— Co się stało? co się stało?... — począł dopytywać.

Stefcia zebrała siły.

— Nie, nic... nic się nie stało złego — przemówiła.—Niech się pan nie niepokoi. Ja przyszłam do pana tylko, bo wiem, że pan jest naszym przyjacielem; przyniosłam panu do przeczytania ostatnie listy ojca. Niech pan je przeczyta. Ale to w tajemnicy... to w wielkiej tajemnicy!

Podała mu zwitek i przyłożyła chustkę do oczu.

Remigiusz posłusznie począł czytać jeden list za drugim. Współczucie go ogarnęło ogromne. Powiedział w końcu miękko do dziewczyny:

— Stefciu, trzeba, żebyś pojechała do ojca...

Na smutnej twarzy dziewczyny, w jej zapłakanych oczach odbił się nagle wyraz najwyższego szczęścia.

— Pan tak myśli?—zawołała.

— To proste.

— I ja tak myślałam, i ja tego pragnę, tak jak jeszcze nigdy niczego na świecie nie pragnęłam... Ale ja wiem, że mama się nie zgodzi... ja to wiem dobrze. I po to właśnie przyszłam do pana, uprosić i ubłagać, żeby pan mnie i ojcu pomógł. Pana może mama posłucha. Pan jest taki uczony, taki rozumny, to pan dobrze może wiedzieć, co się dzieje w ojca sercu i w mojem sercu... Ojciec tam bezemnie umrze, ja to wiem. Pan to rozumie, prawda? Ale mama tego nie rozumie.

— Stefciu, zkąd znowu!

— Ja wiem, panie. Mama te listy czytała i nic nie powiedziała, ani jednego słówka, tylko o czem innem zaraz zaczęła mówić, a pan zaraz powiedział, co trzeba zrobić.

Remigiusz wziął jej chusteczkę i począł jej łzy ocierać.

— Ha, dobrze — rzekł surowym tonem — zrobię co będę mógł, ale pod jednym warunkiem.

— Tak mało?...

— Ale trudnym warunkiem.

— Oh, to dobrze!

— Że Stefcia już ani jednej łzy więcej nie uroni.

Uśmiechnęła się zaraz do niego.

— O tak, dobrze. Teraz będziemy coś robili.

W tej chwili jednak przestrach przeszedł przez twarz dziewczyny.

— Ale, proszę pana, to najgłębsza tajemnica, że ja u pana byłam. Mój Boże, żeby to się mama

dowiedziała! Musi pan się przysiądz, że nigdy, nigdy pan mnie nie zdradzi...

— Przysiądz? na co?

Pomyślała chwilkę.

— Niech pan da mi słowo.

— Dobrze, daję słowo.

— Ale... słowo honoru.

— Słowo honoru? uczciwego człowieka?

Zaczął powtarzać, ale ona się spostrzegła i przerwała:

— Jaka ja jestem dziecinna, panie, prawda? Przecież ja panu i tak ufam i wierzę. Nie, niech pan nie daje słowa, niech pan tylko powie mi poprostu, że pan mnie nie zdradzi. Więc dobrze. A teraz, jakże to zrobimy, co?

Remigiusz począł się zastanawiać.

— Ja panu powiem. Jak pan do nas przyjdzie, to ja te listy położę na widoku i tylko oczami je panu pokażę; pan je znajdzie niby przypadkiem, co, dobrze? i przeczyta pan je, niby, żeby wiedzieć, co u ojczulka słychać. I wtedy pan powie, że mnie koniecznie, ale to koniecznie, trzeba wysłać, bo inaczej ojczulek nie z choroby, ale ze zmartwienia umrze. Czy tak będzie dobrze?

Tak oto zawiązała się ta intryga.

Remigiuszowi, po namyśle, sprawa wydała się nie bardzo łatwa. Szło tu tylko o zgodę pani Anny w tem wszystkiem. Stefcia nie wiedziała, za czyje pieniądze leczy się ojciec i nie miała pojęcia, jak daleko właściwie sięgała jej prośba. Otóż zgoda pani Anny nie była z góry pewną, bo była to surowa pani i tylko obowiązkom, a nie uczu-

ciom przyznawała moc legalną. To też z niepokojem i z drżeniem nawet Remigiusz przystąpił do odegrania ułożonej roli. Ale, Bogu dzięki, powiodło się to nadspodziewanie. Najprzód bowiem pani Anna dostrzegła w tem nowy dowód swej siły, widząc jedynie nową chęć u Remigiusza zasłużenia się jej; potem rada się pozbywała na pewien czas dziewczyny, obojętnej i zamkniętej w sobie, co do pewnego stopnia zmniejszało jeszcze wydatki domowe i dawało więcej swobody.

Udała się cała ta intryga nawet tak dobrze, iż pani Anna, mając coś pilnego do zrobienia w tym czasie, powierzyła Remigiuszowi odwiezienie małej na kolej; mała koleją mogła już pojechać sama, była dość duża na to, miała lat dwanaście; zresztą Nasturski, do którego podano depeszę, wyjedzie na spotkanie jej aż do krzyżowej stacyi.

Kiedy ruszyli dorożką na kolej we dwójkę, Stefcia spojrzała w oczy Remigiuszowi i rzekła:

— Udało się...

Potem w milczeniu dojechała na stacyę; i gdy już znaleziono dla niej miejsce i ulokowano jej bagaże, nie mówiąc jednego słówka, zarzuciła nagle ręce Remigiuszowi na szyję, przycisnęła się do niego z całej siły i poczęła go głośno, zawzięcie, z wylaniem się bezwzględnem, całować po twarzy.

Powieściopisarz w tem miejscu uczynił dłuższą pauzę, co widząc Maniński zapytał:

— Więc to jest twoja nowelka?

— To jest moja nowelka.

— Powiem ci ogólnie, mój drogi, że twoja mała jest trochę za mądra, jak na dziecko lat dwu-

nastu; prawda, że za to twoja stara jest wcale, a wcale nieciekawa.

Ale panie przeciw tej krytyce podniosły swoisty protest.

— Dla pana, panie Maniński, dla pana — zawołała jedna, — ale dla bohatera powieści jest ona najwidoczniej bardzo, a bardzo ciekawa.

— Są gusta i guściki—rzekła druga z pań.

Potopowicz wtrącił:

— Słuszne. Zresztą nie dla jednego profesora filozofii ciekawą jest moja piękność; posiada ona i innych wielbicieli, o których wam chcę udzielić nieco informacyi.

— Zawsze platonicznych? — zapytał Maniński.

— Informacyi?

— Wielbicieli. Robisz łatwe dowcipy.

Potopowicz potrząsnął głową.

— Otóż to właśnie, że nie. Pośród wielbicieli swoich, pani Anna posiada przynajmniej jednego, którego sama wielbi... Przynajmniej jednego—powiadam, bo dla celów moich jeden zupełnie wystarczy, i więcej ich nie dam pani Annie za żadne skarby świata, zważywszy, że mi chodzi o jej charakterystykę moralną, a nie o jej przyjemności. Tak jest—jeden kochanek wystarczyć jej musi i zresztą powinien. Nie jest to wcale kobieta o rozszalałych zmysłach, ani o bujnej wyobraźni, a samo ubóstwo jej wewnętrznej natury i lenistwo, będące niejako odwrotną stroną tego ubóstwa, nie pozwoliłyby na to, aby jej życie stało się zanadto skomplikowane i zbyt w zdarzenia obfite. Więc ten kochanek...

Tu przystanął.

Panie wzmocniły swoją uwagę, pewne, że tu właśnie powieść sięga swego kulminacyjnego punktu. I nawet pani Potopowiczowa, która się przez cały ten czas zachowywała nie bardzo poprawnie, rozmawiając na migi z tym i owym, uspokoiła się i jasną twarzyczkę zwróciła na męża.

Maniński znowu się wtrącił.

— Tyś obdarzył, widzę, tę biedną kobiecinę wszystkiemi cnotami, nie wyłączając i... cudzołóztwa.

Krzyknięto mu ze wszech stron, żeby siedział cicho.

A pani Potopowiczowa sama z niecierpliwością widoczną podpowiedziała:

— Cóż więc ten kochanek?...

— Otóż tego kochanka jeszcze nie mam wcale. Potrzebny on jest mi do odegrania pewnej oznaczonej roli i do usunięcia się w momencie, który mu przezemnie zostanie wskazanym. Jedno o nim wiem tylko, że musi to być figura licha i o tem powinno być mniej więcej dosyć szeroko wiadome. Czem go zrobić? Myślałem, że zrobię go kabotynem jakim, aktorem od melodramatu, próżnym do niedorzeczności, który niesłychaną wiarą w swój geniusz zaimponował naszej damie. Potem przychodził mi na myśl jaki sportsman, może nawet dżokej, albo siłacz z cyrku; mógłby być nawet fałszywy siłacz, bo tacy są i niezłe pieniądze zarabiają. Ale jeżeli kochanka tego zrobię zbyt egzotycznym, pociągnę w tę właśnie stronę moją powieść, a z nią i uwagę czytelnika (jak pochlebiam sobie), a to nie leży w moim planie zasadniczym. Ten kochanek może się prze-

sunąć ledwie parę razy przez tło mojej powieści, jaskrawym więc zrobić mi go nie wolno. Jeden rys stosunku jednak chciałbym zaznaczyć: ten kochanek musi maltretować niezgorzej panią Annę. Co mówisz, Maniński? Sprawiedliwość... Nie, mój drogi; mnie tu idzie o ogólną konstrukcyę powieści najprzód, a potem o psychologię moich głównych figur. Taka kobieta, jak pani Anna, nieznośnie nad wszystkimi panująca zdolna jest się stać stołeczkiem pod nogi tego, kto na nią dobrze z góry skoczy. To chcę, po drodze i dyskretnie, ale zupełnie jasno wyrazić. Dajmy imię temu panu, którego jeszcze niema, którego jednak czeka już gotowa rola, w ostateczności niezbyt nieprzyjemna, bo piękna kobieta zawsze jest piękną kobietą, nawet wtedy, kiedy jest nieznośna—i tylko z wyjątkiem, gdy nie jest aui trochę w naszym guście. Maniński, daję temu panu twoje imię...

Panie zaczęły klaskać.

Maniński burknął:

— Wszystko mi jedno!

— A więc—kończę rozdział, w którym wyłożyłem wzajemny stosunek tych dwojga kochanków: „co powiedziawszy Karol, ze zwykłą sobie brutalnością, wykręcił się plecami i, nie zważając na zapłakaną kobietę, która mu poświęciła miłość i cnotę, nałożył kapelusz na łysą swoją głowę i wyszedł. Na schodach gwizdał aryę z „Dzwonów Kornewilskich”.

Co? czy tak będzie dobrze?

Wszyscy się uśmiechnęli. Tylko jedna z pań,

cichutko i widocznie sama do siebie, szepnęła, z nutką zadziwienia, przygłuszoną nutką zawodu:

— To to tak się robi powieść?!

* * *

Kilka lat potem upłynie.

Nasturski nie zaraz umrze. Pobyt w górach, umiejętna opieka lekarska, a zwłaszcza dozór Stefci, która traktuje go, jak kapryśne i kochane chore dziecko, raz czułością nań wpływając, raz gniewem, raz podstępem—wzmocni go, jeżeli nie uleczy. Wróci nawet na pewien czas do miasta, aby wykładać dość regularnie geografię w szkołach publicznych. W wakacye znowu pojedzie leczyć się pod ferułą Stefci—i tak trwać to będzie z roku na rok, przez czas jakiś.

Stefcia, tymczasem, poważne i głębokie dziecko, rosnąć będzie na wyjątkową pannę, tak, że wkrótce spotkamy się z nią, jako z dziewczyną, która dobrze rok szesnasty zaczęła. Przez te lata nic innego nie robi, jak tylko uczy się. Kokieteryi dziewczęcej, która w formie tych lub owych pretensyi już wtedy, nieraz śmiesznie się przejawia—zero. I nie dlatego, że surowa i o własne wdzięki dbająca macocha umiałaby stłumić każdy w tym kierunku popęd; ale dlatego, że popęd sam się nie zjawiał. Dziewczyna polubiła naukę, w której kiedyś widziała obowiązek, jaki za wszelką wewnętrzną cenę trzeba było na czysto wypełnić; ten obowiązek, do którego przystępowała narazie z oczami ze strachu przymkniętemi, rychło pokazał jej jeden

i drugi uśmiech, a po pewnym czasie byli ze sobą najlepszymi przyjaciółmi. Poważna książka, podręcznik nawet szkolny umiał być jej towarzyszem, którego słuchała i rozumiała. A potem, dziewczyna wbiła sobie w głowę, że musi i filozofię poznać. Tylko jak tu się wziąć do tego?! Remigiusz, którego z ostrożnością o to zaczepiała, podśmiewał się tylko: „zawcześnie, moja panno, zawcześnie“. Ale przyrzekł jej, iż udzieli jej wskazówek i może lekcyi, „gdy będzie czas”. Stefka powiedziała więc sobie, iż musi cierpliwie i cichutko czekać tego czasu. Ale co się dało wyciągnąć od ojca, to wyciągnęła i co w domowej bibliotece trąciło filozofią, to przeczytała, usiłując wspiąć się do wysokości, która jej główkę, choć zdolną, przerastała. Była nadal chlubą szkoły swojej. Pani Annie mówiono komplementy. Przyjmowała je, jako należność— była przekonana, że to ona prowadzi dziewczynę. Bardziej jeszcze o tem zresztą przekonany był Remigiusz.

Pani Anna się trochę w ostatnich latach roztyła; może to utrzymywało świeżość jej cery, ale piękności nie mało odejmowało. Trochę życia kosztował ją Karol, który nietylko maltretował ją, ale, co było gorsze, porzucał; prawda, że po jakimś czasie wracał do niej, widząc ją tak zawsze uległą dla niego. Oprócz tych epizodów zresztą, za kilka lat nic nie mam do zanotowania, o pięknej pani. Na zewnątrz życie jej się nie zmieniło, a wewnątrz było u niej zawsze to samo; nic tu się przez lata nie przeobraziło, ani w poglądach, ani w charakterze, a doprawdy nie wiem na pewno, czy takie

właśnie usposobienia, dzięki bierności i lenistwu duszy, nie są temi, którym najlepiej na świecie; powszedniość im wystarcza, a dzięki temu posiadają równowagę i spokój, których tylu innych ludzi tak często naprożno pragnie i łaknie.., Zresztą, w ostatnich latach, bez rachunku niemal i bez skrupułu wydała ona, na polepszenie bytu, resztę funduszu, jaki z posagu dotychczas ocalał i nie krępowała się, parę razy do roku, w dowód swego szacunku i zaufania, zwierzać się z kłopotami swymi zacnemu przyjacielowi swojemu, który zbyt szczęśliwy był zawsze, ilekroć razy zażądano od niego pieniędzy.

Raz nawet te pieniądze właśnie ocaliły Karola od skandalu, jaki mu groził, gdy przegrał w klubie poważniejszą sumę, której nie miał czem pokryć.

A Remigiusz?

Zadziwicie się może, gdy wam powiem, że był prawie szczęśliwym. Doszedł zresztą do tego, mniej więcej, w końcu samym kilkoletniego peryodu, który tu przed wami szkicuję tak pobieżnie i darowując wam wszystkie szczegóły. Jego psychologia będzie to dla mnie wdzięczny temat do rozwinięcia; nie jest to bowiem zbyt powszedni wypadek: filozof zakochany; a trudności wielkich tu niema, ponieważ w prostej tej duszy, prawej i uczciwej, aż do dna, wszystko występuje z wielką jasnością i niemal prymitywnością. Przypominam wam, że miłość w duszy tego człowieka stanęła w wielce charakterystycznej formie, bo jako — kwestya filozoficzna. Potrzeba było czasu, aby spostrzegł i zrozumiał, że wewnątrz kwestyi tej siedzi coś, co ją

szczególniej mąci i zaciemnia. A dzień, w którym nareszcie domyślił się i odgadł, co to mianowicie tę kwestyę mąciło, był dla niego dniem szalonym. Przeklinał swoje serce, że się w tak nieroztropny sposób zaangażowało w istocie, wprawdzie od wszystkich innych godniejszej miłości, a nawet jedynej istotnie godnej, ale będącej cudzą żoną i noszącej nazwisko innego człowieka. Nastąpił potem nieudany okres wyrzeczenia się wszelkiej myśli o tej kobiecie. A potem inny okres, mniej burzliwy, zlikwidowania uczucia swego w szczerej i głębokiej przyjaźni. Stało się to przy pomocy samej pani Anny, która pierwsza o przyjaźni mówiła i wprowadziła tem samem nieszczęśliwego filozofa na dobrą drogę.

Zresztą, ta przyjaźń coraz to nowym węzłem się zaciskała. I tych węzłów było w końcu tak sporo, że Remigiusz począł doznawać jakiegoś miłego uczucia pewności i solidności nawiązanego stosunku. Dawniej drżał o to, aby go nie stracić, aby pięknej pani czem nie urazić, aby się jej nie naprzykrzyć. Pójść dziś, czy nie pójść na tę miłą, uśmiechającą się doń, pachnącą jakimś odurzającym zapachem ulicę, gdzie stał dom pewien, do żadnego innego w niczem niepodobny—była to wielka kwestya, parę razy na tydzień stająca przed Remigiuszem i nigdy dość szczęśliwie nie rozwiązywana. „Wszak byłem przedonegdaj“—martwił się. I zdarzało się, że skrupuły chwytały go na ulicy i nawracały do domu, gdy miał już tylko kilkanaście kroków do mieszkania, gdzie mu jedynie było cicho i dobrze.

Otóż to wszystko z czasem się zmieniło. I jak się nie miało zmienić, gdy urocza pani Anna, podając mu białą rękę do pocałowania, czyni mu wymówkę:

— Tak dawno pan u nas już nie był...

A on był właśnie onegdaj!

I teraz jedną tylko posiada nasz bohater troskę, troskę, która powinna czytelników powieści mojej niemało bawić, aby pani Anna, broń Boże, nie domyśliła się, co się mianowicie w jego duszy dzieje i jak fałszywą i występną jest ta przyjaźń, którą ta anielska istota w prostocie swej szlachetnej duszy przyjmuje i odpłaca...

W tem miejscu piękna gospodyni zawołała:

— Prześliczne...

A kiedy autor zwrócił głowę w jej stronę, oczekując zapowiedzianej tem słowem złośliwości, dodała z minką, nie zostawiającą żadnych wątpliwości co do niedobrych jej intencyi:

— Czy ty tylko nie szkodzisz dziełu twojemu a i naszym interesom materyalnym, wchodząc tak głęboko w szczegóły?... Psujesz naszym gościom wszystkie efekty, jakieby mieli przy czytaniu książki. A potem któż zechce kupić powieść tak dobrze znaną?...

Na co autor powiedział niespodziewanie:

— Zupełnie słuszna uwaga...

Więc Maniński wtrącił słówko:

— Niech pani podziękuje mężowi.

A Potopowicz objaśniać począł:

— Wszystko, com wam mówił, było konieczne w najpobieżniejszym nawet szkicu. Ale teraz,

kiedy znacie wszystkie osoby i wiecie, o co idzie, będę zwięzłym. Zobaczycie. Zaznaczę same główne etapy akcyi. Pierwszy: nauczyciel geografii umiera. Drugi: Remigiusz żeni się z Anną. Trzeci: Remigiusz pisze wielkie filozoficzne dzieło o wolnej woli, zaprzeczając dawnej swojej wierze z odwagą i bezwzględnością ludzi czystych i przekonanych. Czwarte: Anna umiera. Piąte: Remigiusz, w jakiś czas po jej śmierci, kończy swoje dzieło i puszcza je w świat naukowy...

Ale tu panie-słuchaczki poczęły protestować:

— Nie! takie opowiadanie nie jest wcale zabawnem...

— To jest galop piekielny!...

Potopowicz uspokił je wdzięcznym gestem ręki:

— Zaraz dam krótkie komentarze. Ale nie mogłem zrobić inaczej, jak zaznaczyć temi punktami akcyę powieści, bo doprawdy zgubiłbym w szczegółach i myśl przewodnią mego dzieła i łaskawą państwa uwagę. Komentarzy zaś mam do uczynienia dwa. Pierwszy: to, iż Anna Remigiuszowi daje szczęście. Całe ludzkie możliwe szczęście. Przez lat trzy ich pożycia, w których Anna nic się nie odmieniła, a nawet nie wyrzekła się swego brudnego stosunku z owym kabotynem, albo sportsmanem, Remigiusz jest upojony, nasycony radością i spokojem, stąpa po różach, niesie głowę w obłokach. Tak bywa w życiu. I właśnie taki przypadek, w którym szczęście zostało danem człowiekowi przez fałsze i samolubstwa kobiety, oddaję memu czytelnikowi pod kontemplacyę. Należy jednak tu zauważyć, iż

Remigiusz jest szczęśliwy głównie dzięki swojej miłości. Ale jednak — nietylko dzięki jej. W innych bowiem okolicznościach, wobec innego układu duszy kochanej kobiety, ta sama miłość staćby się mogła dlań źródłem najostrzejszych cierpień i najgorszych zgryzot. Będzie więc jedną z intencyi mojej powieści pokazanie takiego rzeczywistego szczęścia, które tak mocno oparte jest o fałsz, o egoizm, o brutalność natury kochanej istoty.

Drugi komentarz dotyczy dzieła Remigiusza. Intencyą moją jest pokazanie, o ile uczucia ludzkie wpływają na sądy, poglądy, myślenie, rozumowanie. Wybrałem tu filozofa na bohatera powieści, bo w dziedzinie najogólniejszych spraw taka demonstracya wydawała mi się najłatwiejszą. Wziąłem jedną z ciągle rozwiązywanych, a nigdy nierozwiązanych kwestyi: wolna wola i determinizm—bo jest ona dla czytelnika powieści dostatecznie jasną i zrozumiałą.

Czy teraz możliwem jest, aby jakaś klempa tak wpłynęła na zmianę poglądów uczonego, profesora uniwersytetu?

Tego ma dowieść moja powieść.

Ale czy powieść może czegokolwiek dowieść, zważywszy, iż autor kręci nią na wszystkie strony, jak sam tyko chce?

Może dowieść jednej rzeczy: typowości pewnego ludzkiego, pełnego prawdopodobieństw, stosunku.

Jeżeli autor utrudnia sobie zadanie, jak to wasz sługa uczynił, mieszając prawdopodobieństwa z najjaskrawszemi kontrastami—przedsięwzięcie je-

go staje się tem niebezpieczniejsze, ale właśnie tem ciekawsze.

Prawdopodobieństwo jego jest zaś niezawodne. Przeczyć mu, byłoby negować, iż na rozwój filozoficznych poglądów ludzkości nigdy nie wpływały uczucia, namiętności, ambicye. Byłoby to przeczyć oczywistościom.

Tu Maniński zrobił się poważny i zauważył:

— Na wszystko się zgadzam, mój drogi. Wszystko przyjmuję jako dobrodziejstwo inwentarza. Jeden tylko punkt wydaje mi się niepewnym w twojej powieściowej awanturze.

— Mianowicie?

— Oto.... że Remigiusz wytrwał do końca w swojem filozoficznem złudzeniu, że nie dostrzegł, iż jego żona, nie ma pojęcia o najprostszych terminach naukowych, że nie pochwycił ją na nieuctwie, kłamstwie, udawaniu, żyjąc z nią tyle lat tak blizko?

— Punkt niebezpieczny mojej powieści tu właśnie leży. Ale mam dwa motywy, które w dostateczny sposób powinny opancerzyć punkt wspomniany, bez którego niema jednak powieści. Pierwszy—to *złudzenie erotyczne*. Iluż filozofów zamieniło ono w dudków! Tego opowiadać szeroko nie trzeba. Moim warjantem jest dokonanie tej zamiany na samem polu filozoficznem... Drugi motyw — to zręczność Anny. Robi ona, co może, już nie aby podtrzymać złudzenie, lecz w obawie katastrofy, jaką byłoby... zdemaskowanie jej... Na to ma dość sprytu i zręczności; a znowu wobec prostego, naiwnego i śmiertelnie zakochanego Remigiusza, ta

zręczność nie potrzebuje stawać się aż szatańską... Pomaga ona sobie przytem różnemi sztuczkami, pomaga sobie kłamstwem, w którem się wyćwiczyła.

Między innemi mówi ona raz wraz mężowi:

— Ależ, mój drogi, ja się nie znam nic a nic na filozofii...

A mówi to w sposób, który z jednej strony rezerwuje ją od zasypania się, z drugiej — jest kokieteryjnem przybraniem się w dekoracyę skromności.

Zwracam w końcu uwagę, iż sprawa filozoficzna, nad której rozwiązaniem łamie sobie głowę Remigiusz, jest sprawą codzienną dla każdego człowieka.

Kiedy więc Anna, przy pierwszem spotkaniu młodego profesora, mówi mu z dumą megery:

— Ja zawsze robię to, co chcę...

Uczony w tym frazesie, bez żadnego trudu i naciągania, dostrzeże argument filozoficzny, przemawiający za wolną wolą: mianowicie to przekonanie wewnętrzne, jakie rozmaitym aktom ludzkim towarzyszy, przekonanie, iż czynimy to, co chcemy, a nie to, co musimy. Argument bardzo stary. Remigiusz go zna. Odrzuca, zwalcza go nawet w filozoficznem swojem dziele. Ale fakt, że został mu podany przez kobietę, która jest dla niego wcieleniem piękna, zmusza go do zastanowienia się nad nim raz jeszcze, ba! sto, tysiąc razy. W końcu nabiera w umyśle jego znaczenia, jakiego dawniej nie miał.

Oto próbka psychologii mojego bohatera.

*

* *

Maniński wtrącił tu jedno krótkie słówko:

— A mała?

Autor jakby nie dosłyszał tej interpelacyi.

Ale to, o czem obecnie mówić zaczął, było właśnie szeroką na nią odpowiedzią:

— Zbliżam się do ostatniej części powieści, do części, którą sobie przygotowałem przez to wszystko, com dotychczas nagromadził jako zdarzenia i obserwacye, i której pisanie musi stać się dla mnie rozkoszą twórczą. Inaczej dzieło będzie chybione, bo będzie szare, martwe, bez poezyi.

Zrobił pauzę.

Po chwili zaś oznajmił, robiąc efekt dość sztuczny:

— Bohaterką mojej powieści nie była Anna. Jest nią Stefka.

Na co jakiś głos z udaną i komiczną piskliwością zawołał:

— A co?! nie mówiłem...

Potopowicz ciągnął:

— Ma ona teraz lat dwadzieścia cztery, może dwadzieścia sześć. Jest poważną kobietą aż do surowości, aż do braku wdzięku zewnętrznego, który jej piękność, a przynajmniej urok jej młodości zasłania i zaciera. Ma stopień doktora filozofii. I pracuje wspólnie nad dziełem Remigiusza. Robi mu wyciągi i notatki; wygładza styl, przepisując rękopis; czuwa nad korektą. Ale to najmniejsza. Jej współpracownictwo o wiele jest głębsze i istotniejsze. Roztrząsa z autorem każdy argument i każdy rozdział. Sprzecza się i polemizuje. Posiadając więcej intuicyi od Remigiusza — której to intuicyi nau-

kowe studya, dzięki jakiemuś szczęśliwemu przypadkowi, nie osłabiły (tym szczęśliwym przypadkiem może być jakiś profesor filozofii, idealista i entuzyasta, na tym szwajcarskim albo francuskim uniwersytecie, gdzie Stefania otrzymała swój stopień), przyczynia się ona dość stanowczo do wykończenia się w głowie Remigiusza nowej jego wiary filozoficznej, która prowadzi go do wiary szerszej i gorętszej: do wiary w ludzkość — a nawet do progu jeszcze większej i głębszej wiary: w nieśmiertelność.

Odmalowanie stosunku tych dwojga ludzi do siebie będzie główną troską moją. Stosunek to prosty, — ale nieporozumienie, jakie ich dzieli, wymaga bardzo delikatnego traktowania i lekkiej ręki.

Ten stosunek, moi państwo, to miłość ze strony Stefy.

Od dzieciństwa Remigiusz dla niej był ideałem, był upostaciowaniem dobra i mądrości. Jej serce, głębokie zawsze, poruszone było wdzięcznością bezmierną jeszcze wtedy, gdy trzeba było coś uczynić dla biednego i chorego ojca. Z uwielbieniem cichem rosła ona jako dziewczyna, i dojście do świadomości, że jej gorące przywiązanie do przyjaciela dzieciństwa było miłością, miało u niej cechy katastrofy.

Była to miłość bezwzajemna i beznadziejna.

Ale nie była to miłość bez pociechy. Stefa miała przyjaźń i przywiązanie Remigiusza; miała go tuż przy sobie, w najbliższem kółku rodzinnem, cały czas; żyła jego życiem idealnem tak doskonale, że aż życiem wspólnem.

To też ta miłość bezwzajemna nie była wcale—miłością nieszczęśliwą.

Co więcej, Remigiuszowi tak było zawsze dobrze, ciepło i swojsko w towarzystwie dziewczyny, że zgoła życia bez niej nie rozumiał. Nietylko tęsknił bez niej—i te parę lat, kiedy była na uniwersytecie zagranicznym, były najgorszemi latami jego życia—ale obejść się nie mógł bez jej pomocy i bez jej towarzystwa.

Stefa widziała, jak wiele daje temu, którego kocha, i to stanowiło wielką jej dumę i wielką jej radość...

Czarnym punktem w tym stosunku była Anna.

Mniej jednak za życia.

Rozumna i dzielna dziewczyna umiała się wyemancypować z pod despotycznej władzy pani Anny z wielkim taktem i bez starć. Małżeństwo z Remigiuszem przyjęła jako fatum, znosiła jako — konieczność.

Ale po śmierci Anny przypadła jej rola po nad siły: pocieszycielki i powiernicy. Musiała walczyć zwłaszcza z oburzeniem, jakie wywoływało w niej naiwne i ślepe uwielbienie Remigiusza dla Anny. Burzyła się zaś w niej cała istota: i serce, które cierpiało ból, i myśl, która widziała jasno, jak dalece ta cześć nie jest zasłużona, jak wyłącznie na złudzeniu erotycznem jest oparta.

Pewnego dnia to oburzenie Stefy wybuchnęło całym pożarem.

I tu przychodzi jedna z efektowniejszych scen powieści.

Porządkując raz papiery, Stefa trafiła na całą korespondencyę Karola do Anny.

To przepełniło goryczą i gniewem jej serce.

Więc ta marna, nizka, podła kobieta była jeszcze podlejszą i niższą, aniżeli to sobie Stefa wyobrażała! Więc zdradzała ona, z jakimś holyszem i nędznikiem, zarówno ojca Stefy, jak i Remigiusza, dwóch tak dobrych, tak słodkich ludzi!

Ale oto los sam wydał ją teraz, po śmierci, w ręce mścicielki.

Zostawiła ona po sobie pomnik czci i pamięci, jakich w najmniejszej mierze nie była godną, pomnik w jednem z najczystszych i najszlachetniejszych serc męzkich.

Stefa może w ten pomnik uderzyć, niby piorunem, i skruszyć go na miał...

I oto straszna walka rozpoczyna się w duszy młodej kobiety: czy to zrobić?

* * *

Potopowicz w tem miejscu uczynił przerwę, a zrobił to w taki sposób, jakby poddał towarzystwu pewien szczegółowy problemat do rozpatrzenia i do rozstrzygnięcia.

Jakoż zainteresował on żywo towarzystwo i poczęto wymieniać zdania i poglądy, dość zresztą ze sobą zgodne. Wszystkim bowiem wydawało się ludzkiem i naturalnem, a więc i koniecznem, że Stefa nic innego uczynić nie może, jak tylko zabić pamięć rywalki swej w sercu kochanego mężczyzny.

— Tak, tak! — przyświadczył autor—ale idzie mi o to, aby Stefa uczyniła to pięknym, artystycznym gestem i w momencie powieści, kiedy ten gest wyda się najwłaściwszym i najnaturalniejszym. Więc też wysyłam ją najprzód w podróż samotną, dla uspokojenia się, dla postanowienia tego, co ma zrobić swobodnie. A ta nieobecność jej w domu Remigiusza czyni to, co oddawna obecność zrobić była winna: poczyna on zeznawać jaśniej i głębiej, czem jest dla niego ta kobieta.

Jakiś znak, list, pamiętnik — nie wiem narazie co, ale to się pod ręką samo znajdzie w stosownej chwili—powiada Remigiuszowi to, na co tak długo był ślepy: iż jest kochany.

Napełnia to go uczuciami tak sprzecznemi, że ten człowiek, który zawsze tak jasno czytał w świecie, a tak źle znał własną duszę, traci głowę i spokój.

Wysyła wreszcie depeszę do Stefanii:

„Przyjedź, błagam cię".

Ona się zjawia.

Widzi, iż coś zaszło. Odgaduje szybko — co. Ale rozmowa, wyjaśnienie jest niemożliwe w tym stanie. Nic więc sobie nie mówią jeszcze.

Tymczasem... dzieło Remigiusza jest gotowe. Puścić je tylko w świat uczony i księgarski.

To dzieło posiada dedykacyę.

Autor poświęca go pamięci żony swej, która była pierwszą, co ostrzegła filozofa, że krąży po manowcach fałszu, która pierwsza wskazała mu drogę prawdy.

Tę kartę napisał Remigiusz już po wyjeździe Stefy.

I ta to karta decyduje Stefę.

Wieczorem, na stole pracy, pod kręgiem lampy, znajduje Remigiusz listy, pisane do jego żony... listy z notatkami tej, którą czcił, jak świętość...

W parę dni dzieło Remigiusza wychodzi w świat... bez dedykacyi.

*
* *

— Opowiadanie moje jest skończone. Reszta— to już tylko finał liryczny, pieśń słowika miłości dwojga istot dobrych, czystych i pięknych... Ponieważ wymęczyłem ich dość, mam prawo ich połączyć, chociaż są dla siebie stworzeni, co się w życiu tak rzadko zdarza, że sumienny malarz obyczajowy powinien unikać takich sytuacyi, jako niedostatecznie naturalnych.

Daruję więc wam wszystkie szczegóły z epilogu mojej powieści, prosząc was tylko, abyście mi życzyli tyle wdzięku i poezyi, ile mieć potrzeba, aby wyśpiewać tę pieśń miłosną, z tak daleka przygotowaną.

*
* *

Tymczasem jednak na świecie zachodzić miało właśnie słońce, a na ten czas usunęły się chmury z jednej strony nieba, aby ludziom trochę rozkoszy uczynić. Zrobiła się pogoda.

Widać było pomiędzy ziemią a pasmami ciemnych chmur posuwające się wolno słońce, jakieś

ogromne i nalane szkarłatem. Opuszczało się jakby po niebardzo szerokim, ale złotolitym pasie, w poprzek rozciągniętym, a nasyconym blaskiem tak czystym, i w złocistości swej kryształowym, że od tego kolorowego blasku oczom było aż dziwno, a duszy nieswojo, bo jakby niebiańsko.

Różne krople zaś, zwieszające się po krzakach brzezinki i na wysokich trawach, łapiąc promienie słońca, grać poczęły, niby dyamenty.

Pani Potopowiczowa pierwsza tę metamorfozę, wspaniałościami naładowaną, spostrzegła, — uderzyła aż z radości w białe dłonie, i zawołała:

— A! chodźcie tu, chodźcie...

Wszyscy wyskoczyli na taras.

I zachwyt objął ich zaraz.

W ten sposób tak pięknie skończyła się wycieczka do „tusculum" Potopowicza, rozpoczęta w tak fatalny sposób.

K O N I E C.

Towarzystwo wzaj... Wilnogór
Brooklyn, N.Y.

SPIS RZECZY.

	Str.
Jak za dawnych czaów	5
Sen Pana Hufniakiewicza	15
Idee pana adjunkta	25
„Oni". Historya ogromnie współczesna . .	35
Dnia jednego	43
Życie idzie w kółko. Ze zwierzeń znakomitego człowieka	51
Doskonały pomysł do dramatu albo powieści	61
Ciekawa historya o Cornusie, który sprzedał dyabłu duszę dlatego tylko, aby posiąść piękną burmistrzankę. Ze starych fascykułów skopiowane	67
Lutek ma dzień szczęśliwy	81
W pokoju dziecinnym	93
Pan profesor filozofii. Pomysł do powieści. Opowiadanie autora	105

TRZECI ROK ISTNIENIA

„DZIENNIK KIJOWSKI"

Pierwsze i jedyne codzienne pismo polskie na Rusi, poświęcone sprawom politycznym, społecznym i kulturalnym.

Redakcya stara się dać pełny obraz życia i pragnień społeczeństwa polskiego na Rusi.

Wobec wzrastającego stale poparcia naszego społeczeństwa i czyniąc zadość potrzebie szybkości i aktualności, Redakcya wprowadza dalsze **ulepszenia w treści i układzie pisma.**

Specyalnie zwróconą będzie uwaga na działy **informacyjny i literacki.**

Dział **TELEGRAMÓW WŁASNYCH** znacznie został rozszerzony.

W dziele **literackim** „Dziennik Kijowski" pomieszczać będzie w odcinkach utwory beletrystyczne, oryginalne i tłómaczone, przeglądy i sprawozdania literackie i artystyczne, kroniki z życia zagranicznego, fejletony.

„Dziennik Kijowski" zapewnił sobie współpracownictwo najwybitniejszych sił publicystycznych, naukowych i literackich.

Warunki prenumeraty:

W Kijowie i z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 8, półrocznie 4 rb. 50, kwartalnie 2 rb. 50, miesięcznie 85 kop.

Zagranicą: Rocznie rb. 14, półrocznie rb. 7, kwartalnie rb. 4.

Za zmianę adresu dopłaca się 30 kop.

Adres Redakcyi i Administracy: Kijów, ul. Prorezna 9.

Dziennik Wileński

POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

Najtańsze pismo polskie codzienne na Litwie!

Pismo daje pełny obraz życia i dążeń społeczeństwa polskiego na Litwie.

W kwartale I-szym roku 1908 „Dziennik Wileński“ rozpocznie druk najnowszej powieści **HENRYKA SIENKIEWICZA** osnutej na tle stosunków współczesn. p. t.: „**PONAD ŻYCIEM.**“

„Dziennik Wileński“ podaje własne korespondencye i telegramy z Dumy Państwowej i Rady Państwa.

W dziale naukowym i literackim „Dziennik Wileński“ ma zapewnione współpracownictwo pierwszorzędnych sił polskich.

Dział korespondencyi systematycznie jest rozszerzany; pismo posiada stałych korespondentów we wszystkich stronach Litwy, a także w innych dzielnicach polskich i w większych środowiskach za granicą i zamieszcza gruntowne i szczegółowe informacye o życiu umysłowem, politycznem i ekonomicznem **w kraju i za granicą.**

Od połowy grudnia r. b. „Dziennik Wileński“ zostanie znacznie **powiększony**. Zwiększenie pisma umożliwi nam rozszerzenie **obecnych działów i wprowadzenie nowych.**

Wobec powiększenia numeru i kosztów wydawnictwa od dnia 1 stycznia 1908 r. warunki prenumeraty będą następujące:

w Wilnie: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50, miesięcznie kop. 50.

Na prowincyi: Rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie br. 2, miesięcznie kop. 70.

Za granicą: Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3, miesięcznie rb. 1.

Za odnoszenie do domu dopłaca się rocznie rb. 1, miesięcznie kop. 10. Zmiana adresu kop. 20 Numer pojedyńczy kop. 5.

Nowość! Prenumerata tygodniowa w Wilnie **15 kop.** z odnoszeniem do domu. **Nowość!**

Adres Redak. i Adm. „Dz. Wil.“: Wilno, ul. Dominikańska 17.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują: filje, księgarnie, biura ogłoszeń.

Y0-CLD-747